

Wies

Rok VII

Warszawa, dn. 26 marca 1950 r.

Nr 12 (243)

W NUMERZE

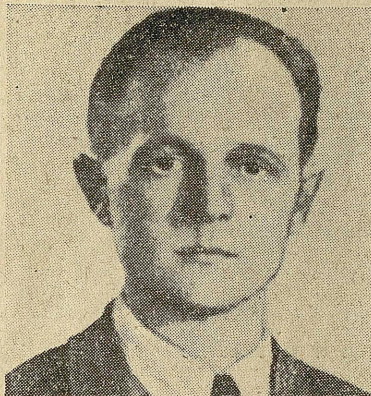
S. ATLAS, S. WYGODZKI, W. MARKOWSKA, P. GRENIUK —
Głosy członków Jury konkursu na »reportaż o wsi«.
JULIAN B. MARCHLEWSKI — Fizjokratyzm w dawnej Polsce.
KAZIMIERZ DĘBNICKI — Wiek XX. ARNOLD ŚLUCIK — Wiersze
E. NIZIURSKI — Topiela. L. SOBIERAJSKI — O nową wizję wsi.

tygodnik społeczno-literacki

„...Sami tego nie zauważamy, jak rodzą się w nas nowe dzieje życia. Dopiero gdy jakiś pisarz zajdzie do nas, zobaczy, posłucha i reportaże o nas napisze, wielu z nas dowie się o naszych własnych przemianach społecznych. To, na co codziennie patrzymy, czego doświadczamy, staje się dla nas zwykłością i zapominamy, że to są rzeczy nowe, wielkie, dzięki którym stajemy się prawdziwymi bohaterami. Dopiero może po przeczytaniu reportażu będziemy dumni, gdy nam powie: „Ludzie kochani, to te wielkie i piękne rzeczy i sprawy, to wasze własne, wyście je zbudowali odrodzeniem się waszego ducha, waszą wiarą w społeczeństwo, w samych siebie. Wy, to Polska. Czy wiecie o tym?...“

Seweryn Skulski — Na przełomie (Praca konkursowa)

LAUREACI KONKURSU „WSI”



Henryk Worcell
I-sza nagroda.



Władysław Machajek
II-ga nagroda.



Zbigniew Kwiatkowski
III-cia nagroda.



Stefan Turnau
III-cia nagroda.

W mieście człowiek może żyć dziesięć lat w kamieniu i nie wiedzieć o swym sąsiedzie z pierwszego piętra. Inaczej na wsi: tu wszyscy się znają na wyrost, wiedzą nie tylko kto robi, ale i co myśli. Błahe zdarzenia, na które w mieście nie zwraca się uwagi lub kwituje je wzruszeniem ramion, tu, na wsi stają się nieraz sensacją. Każde słowo wypowiedziane przez sąsiada, każdy jego ruch jest zaciąganiem obserwacji. W mieście patrząc przez okno na ulicę widzisz barwny tłum i ruch pojazdów — wieśniak zaś z okna swojego domu widzi Kowalskiego, który wiezie do młyna zboże (młot pszenicy i dwa metry żyta, bo właśnie wczoraj młwik, że tyle zawiezie) — widzi Pawłowskiego, który prowadzi swoją kobyłę do kowala (by przybić podkowkę do przedniej nogi, bo wczoraj właśnie kobyła zgubiła te podkowki) — widzi starą Jakubowską idącą do spółdzielni (by kupić cukru, kawy i materiału na fartuch, bo właśnie wczoraj syn jej dostał wypłatę za robotę w lesie).

Mieszkańcy Guranowa, zapadłej, górskiej wsi powiatu Łódzkiego, znali się tym lepiej, że stanowili gromadę niewielką, liczącą 72 numery i niespełna czterysta ludzi. Większość z nich osiedliła się tu latem i jesienią 1945 r.

Repartierzy z Buga stanowią 50 proc., reszta to przesiedleńcy z województw centralnych: z Podhala, spod Kielc, Częstochowy, Poznania, Rzeszowa. O jakichś zawiściach dzielnicowych wśród tutajjszych ludzi nie warto wspominać, gdyż nie ujawniły się one tu tak jaskrawo.

Wiosną 1946 r. ówczesny sołtys, Ludwik Sarna, wspólnie z niejakim Karolem Gajusem i młynarzem Kobryńskim zorganizował w Guranowie koło PSL, którego prezesem został Gajus. Ojczyzna większości mieszkańców Guranowa zajęta gorączkową pracą na opuszczonych przez Niemców gospodarstwach nie orientowała się w ówczesnej sytuacji politycznej, nie słyszała jeszcze nazwiska Mikołajczyka. Z chwilą, kiedy to nazwisko stało się głośne, kiedy prasa ujawniała wstępną ideologię PSL-u, osadnicy poczęli się wycofywać z tego stowarzyszenia. Sołtys Sarna zdołał wkręcić się w szeregi PPR i przez pewien czas uchodził nawet za aktywistę, a Gajus i młynarz Kobryński po dłuższym namyśle, słysząc o rozdźwiękach panujących w PPS i licząc na zwycięstwo prawicowców stali się „sołtysami” — „szefami w podziemiu”, jak to dowcipnie określił pan Gajus w rozmowie z Kobryńskim. Czterdziestoletni Kobryński, stary kawaler, syn włońskiego ziemianina, prawnik z wykształcenia, zajął w Guranowie młyn poniemiecki i 8 ha ziemi. Niewiele się znał na młynie, więc dopóki to było możliwe posługiwał się Niemcami, a po wysiedleniu tych przyjął sobie współmłynika, niejakiego Koszowskiego, również zabużanina. Ten był agronomem, ale swego wykształcenia nie ujawniał. Ostrożny, lekki, zdobny był się na szczerze jedynie w ciastym kółku swych przyjaciół — powiedział, że woli u Kobryńskiego gnoć wyrzucić niżeli swymu zdolnościom popierać „zarazę komunistyczną”. A po wtóre: „przyjdzie czas, kiedy komuniści zaczną starą inteligencję tępić — może mi się uda, jako parobkowi, przetrwać szczęśliwie do wojny”. Trudno dociec jaką drogą te jego wyrzuty dotarły do władomości szerszego ogółu — najprawdopodobniej poprzez Gajusa doszły do dwóch kulackich rodzin z Buga, Kałuskich i Surmańskich, a stamtąd rozeszły się po

HENRYK WORCELL

REWOLUCJA W GURANOWIE

(I nagroda za „reportaż o wsi”)

całej wsi. Trzeba to powiedzieć, że na wsi nie kobiety, lecz mężczyźni są największymi plotkarzami. Chociaż chłopie chciał zataić najskrytszą myśl, wypowie ją wcześniej czy później, jak nie językiem, to mrugnięciem oka, — bo coś może być ciekawszego dla ciebie nad to, co czuje i myśli człowiek otoczony zewsząd milczącym polem i nieruchomym lasem? Demaskowanie ludzkich myśli dokonuje się tu z równą żywotnością, jak w mieście, że kłaki kapitalizmu. Nie dziwne więc, że o Gajusie wieś wiedziała znacznie więcej, niżby on się spodziewał. Do Guranowa przybył jesienią 1945 r. i będąc jeszcze kawalerem, zajął dwudziestohektarowe gospodarstwo. Udało mu się to w związku z mundur oficerski. (Jako podpor. żandarmerii dostał się był do niewoli

wrogów z tych ludzi, narażać się na odmowę pożyczania konia czy żniwiarki. Zresztą, do kogo się mieli udać ze skargą? Do woja, do Rady Narodowej? Ależ tam właśnie Gajus miał największe wpływy — gmina popierała Gajusa, bo był jej potrzebny jako zdolny organizator, fachowiec. Wszędzie Gajus jako prezes, jako kierownik, jako sekretarz — na każdym zebraniu jako przewodniczący. Jednego tylko stanowiska Gajus nie przyjął: gdy nastąpiło zjednoczenie PPS i PPR i stanęła także kandydatura Gajusa na stanowisko sekretarza PZPR, ten stanowczo się wymówił. „Darujcie, ale ja już mam tyle roboty, że sobie rady dać nie mogę. Niech kto inny też popracuje społecznie, mamy przecież odpowiednich ludzi. Ja osobiście byłbym za tym, żeby leśniczy Gradek był sekretarzem”. Rzeczywiście! Leśniczy, chłop młody i zdolny, każdy się z nim liczył, czemużby nie mógł być sekretarzem? Co prawda ludzie wlot się zorientowali, że Gajus, Kobryński i Kałuski żyją w dobrych stosunkach z leśniczym, że tam jakieś interesy z drzewem miewają, ale to przecież ludzka rzecz, a Gradek też innym idzie na rękę i jeżeli ktoś wiezie z lasu furę gałęzi nadzianych jakąś grubszą „duszą”, to, po trafi na to przez palce patrzeć. „Kto jest za Grakiem?”

— „Wszystcy!” — „Kto przeciw?” — „Nikt!” — Pięknie, widąc, że gromada jednomyślna, zgodliwa. Atoli po Nowym Roku 1949 zaczęło się coś psuć w gromadzie. Najpierw wybuchła sprawa sołtysa Sarny. Człowiek ten zasiedziały na swym stanowisku od r. 1945, stopniowo przywykał do szabru, coraz częściej urządził kosztowne pohulanki, coraz więcej potrzebował pieniędzy, aż w końcu przebrał miarę i zaczął popełniać zbyt jaskrawe nadużycia. W grudniu 1948 stał się głośny jego „czyn”. Chodziło o gromadzką cechę, którą sołtys Sarna sprzedał jakiemuś obcemu człowiekowi i uzyskał pieniądze (około 40.000 zł), które zatrzymał dla siebie. Do Komisji Specjalnej wpłynęło anonimowe pismo w tej sprawie i po Nowym Roku w Guranowie zjawiała się milicja. Sprawy nie dało się zatłuszczać, cegła była wywożona w dzień samochodem. W trakcie dochodzeń ujawniły się inne nadużycia sołtysa: kradzież maszyn, sprzedaż bydła poniemieckiego, nielegalny ubój, pobieranie łapówek itd. itd. Sołtysa aresztowano. Na gromadzie padł strach, alboż nie jeden z osadników w ten czy inny sposób był ze sprawami Sarny związany — podobno Gajus był włączony w jakiś gruby szaber. Zaznaczyć wypada, że podobne historie były nie rzadkie dla stosunków panujących na Ziemiach Odzyskanych, gdzie początkowo w okresie wysiedlania Niemców prawo własności prywatnej czy państwowej — chociaż określone formalnie — w pojęciu napływowej ludności nie było jeszcze utrwalone — i gdzie kradzież nie nazywała się kradzieżą, lecz była określaną synonimem: szaber. Teraz już nie słyszy się tego słowa, a wszelkie nadużycia określano są ich właściwym mianem. Może i nie trzeba się zbyt dziwić, że wiele spraw sołtysa Sarny umorzono, a jego samego skazano latem ub. r. tylko na dwa

lata więzienia. Stanowczo jednak trzeba się dziwić, że od chwili ogłoszenia wyroku po dziś dzień człowiek ten znajduje się na wolności.

Jeszcze nie przebrzmiała sprawa sołtysa, jeszcze we wsi huczało jak w ulu na wyrost, gdy wybuchła nowa bomba: oto w „Chłopskiej Drodze” ukazał się artykuł St. Oleszki, osadnika z Guranowa. Tytuł: „Spółdzielczość to dobra rzecz”, a u dołu wyraźnie St. Oleszko, wieś Guranów, pow. Kłodzko. Sensacja powojna, bo nikt się nie spodziewał, że Oleszko potrafi pisać do gazet, że się odważy poruszyć tak ryzykowny temat.

Muszę się przy tym człowiekowi zatrzymać dłużej, gdyż odegrał on wybitną rolę w wypadkach, jakie później zaszły w Guranowie. Oleszko to młody, dwudziestoosmioletni repatriant z Białorusi, syn pięciomorgowego chłopca. Wykształcenie: 4 klasy szkoły powszechnej. Pierwsze lata po wojnie spędził ze swą żoną i córeczką na tulaczce po Pomorzu. Do Guranowa przybył późną jesienią 1947 r. i zajął opuszczone przez pewnego górala dwuhektarowe gospodarstwo. Zimą pracował w lesie i nawet nie złe zarabiał, latem nie mając wiele roboty na swojej działce pracował na dniówkę u Gajusa i też nie narzekał, bo Gajus z wypłatą nigdy nie zalegał. Dziwno to Oleszko, bo już zauważył, że Gajus nie wszystkich tak skrupulatnie wypłacał. Bardzo często pracowała u niego pewna autochtonka, kobieta już starsza, matka pięciorga dzieci, żona szewca Barcza. Zjawiała się na każde zawołanie, porzucając nieraz pilne zajęcia domowe, pracowała naczemurzoną, zia, niechętna do rozmowy, zezem patrzącą na ludzi. Gajus niewiele się do niej odzywał, traktował ją z góry, płacił jej nieregularnie i mniej niż innym robotnikom. Tajemnicza tego wyszukała wyjaśnienia w końcu. Otóż Gajus dostał w swoje ręce haniebny dokument autochtona Barcza, podpisany przez Hitlera, dyplom dziękczynny za gorliwe pełnienie funkcji „Presseciefa” na terenie tutejszej gminy — więc po prostu szantażował Barczów — tym dokumentem. Ale w owym czasie Oleszko nie wiedział o tym i nie umiał sobie wytłumaczyć brutalnego stosunku Gajusa do pracowitej autochtonki. Zresztą w tym czasie Oleszko wiele rzeczy nie umiał sobie wytłumaczyć. Często był świadkiem rozmów, jakie się toczyły między Gajusem a Kobryńskim lub Koszowskim. Panowie ci traktowali go istic z pańska, nie liczyli się z jego obecnością, rozmawiali tak, jak gdyby on był nierozumnym dzieckiem, albo jakby oni posługiwali się obcym językiem. Nie jedno zdanie utkwiło mu w pamięci. „Z jakiej racji dyktatura proletariatu?” — mówił raz Kobryński. — „Dlaczego niby ta znikoma mniejszość, jaka stanowi proletariat, ma sobie usurpować władzę nad całym narodem? Przecież wszystkim jeśli chodzi o większość, to chłop powinien tu mieć coś do powiedzenia, a chłop nie chce komunę.”

— Jakże to — pomyślał sobie Oleszko — ja przecież chłop, a skąd ty wiesz, że ja nie chcę komunę? A Bobiński też chłop i też komunista, i tamci z górnej części wsi, co należą do partii, to też chłop i komuniści. Nie miał jednak jeszcze na tyle odwagi, by przerwać panom dyskusję, wnieść się do ich rozmowy. Innym razem zastanowiły go słowa Koszowskiego: — Proszę was, to jest fakt dowiedziony, że w miarę uprzemysłowienia kraju proletariariat rośnie w siłę i wywiera coraz większy nacisk na rząd, wywalcza sobie prawa i przywileje. Po cóż więc robić gwałtowny przewrót, rewolucję, kiedy proletariariat może osiągnąć dobrobyt drogą ewolucyjną, bez przelewu krwi, bez krwawej dyktatury.

Oleszko czuł, że w całym tym rozumowaniu tkwi jakiś zasadniczy błąd, pamiętał, że Bobiński

twierdził coś wręcz przeciwnego, mimowoli przypomniał też sobie białoruskiego dziedzica Lutyńskiego, którego okoliczne chłopstwo w żaden sposób nie mogło zmusić do ustępstwa — ale jakoś nie umiał sprecyzować swoich myśli i w formie jakiegos argumentu przeciwstawił je wywodom Koszowskiego, zwłaszcza, że ten zamilkł, a mówił Gajus: — „Nieraz się nad tym zastanawiałem, że natury ludzkiej nie da się zmienić. Nigdy nie uwierzę, żeby człowiek przestał być egoistą. Dopóki jest żywy zawsze będzie dążył do osiągnięcia bogactwa kosztem innych. Chcąc stumieć w człowieku ten żywotny pęd, trzeba postawić nad nim policjan-ta, a nad tym policjantem jakiegoś oberpolicmajstra itd. aż do naczelnej władzy. A człowiek taką już ma naturę, że zawsze będzie dążył do osiągnięcia bogactwa. To znaczy co? Po prostu, że rewolucja musi być permanentna. I tego ani Marks ani Engels nie przewidział.”

— A robotnik fabryczny? — wy-rwał się Oleszko jakoś wbrew własnej woli i poczuł na sobie zdziwione spojrzenia trzech rozmówców.

— Co, robotnik fabryczny? — zapytał Kobryński.

— Ano to, że robotnik nie chce być bogaczem. Jak mu dobrze płacą, to już zadowolony i niczego więcej nie chce.

— Bo wie, że więcej nie dostanie — powiedział Kobryński. — A pan nie chciałby być bogatym?

— Nie — odpowiedział Oleszko, dziwiąc się swej niespodziewanej wymowności — bo na co mi pięć ubrań, kiedy mi dosyć dwa: na

święto i na codzień. Albo na co mi dziesięć świń, kiedy ja tylko dwie mogę zjeść do roku. To nie prawda, że każdy człowiek chce być bogaty.

Kobryński lekceważąco machnął ręką: — To się panu tylko tak wydaje. — Ej, nie — odpowiedział Oleszko z namysłem — mnie się wydaje, ale co innego. Pan Gajus mówi, że pęd do bogactwa... Może i tak, ale nie u wszystkich ludzi. Jak ja nie robię w polu, choćby i u pana, to przecież wiem, że nie robię dla siebie, ale robię coraz przedziej, coraz przedziej, coraz lepiej, chciałbym się z kimś wyścigać i jestem taki zadowolony, że mi więcej do szczęścia nie trzeba. To też jest jakiś pęd, ale nie do bogactwa... Nie, nie, to nie do bogactwa. Mnie by bogactwo nie cieszyło, a jak mi robota idzie dobrze, to mnie właśnie cieszy, to jest moje bogactwo, to jest moje życie.

— Niewolnicza dusza — mruknął po francusku Koszowski i na tym rozmowa się skończyła. Oleszko pojechał się chłódno ze swymi oponentami. — Czekając panowie — pomyślał sobie opuszczając dom Gajusa — ja się wam postaram na wszystko odpowiedzieć...

Następnego dnia napisał podanie o przyjęcie do partii i złożył je na ręce ówczesnego sekretarza, Wiśniewskiego. A potem... W tym okresie, jesienią 1948 r. w Guranowie rozwinęło się czelnictwo. Nowy listonosz, Stefan Milkner, obsługujący sąsiednią wieś Piotrowice, gdzie mieścił się urząd pocztowy, i dojeżdżający rowerem do Guranowa, uwziął się, by w tej małej gromadzie mieć sześćdziesięciu prenumeratorów i w końcu dokonał tego. Ludzie chcąc nie chcąc przyzwyczajali się do czytania i sami żądali coraz to nowych gazet. Rzecz charakterystyczna, że olbrzymią większość prenumeratorów stanowili robotnicy leśni i matorolna biedota z górnej części wsi. Ci bogaci z dołu, wykupujący ze spółdzielni lwia część monopolu, ograniczali się do jednej gazety na rodzinę. Czytając „Chłopską Drogę”, później „Gromadę” Oleszko ciągle napotykał artykuły chłopskich korespondentów i redakcyjne wezwania: „Piszcie do nas o swoich sprawach”. „Piszcie o wszystkim, co was boli i co was cieszy!” — „Bądźcie współredaktorami naszego pisma!” I Oleszko chwycił za pióro: „Co mnie boli? Boli mnie, gdy widzę jak mój sąsiad całymi dniami orze jednym wołem i nie może się z roboty wygrybać. A cieszy mnie, gdy widzę jak w majątku państwowym traktor ciągnie czterokobowię i w ciągu dnia orze tyle ziemi, ile mój bidny sąsiad swoim wołem w dwa tygodnie. Boli mnie, gdy widzę, że jeden sąsiad pracuje w polu maszynami i z dnia na dzień staje się bogatszy, a drugi sąsiad haruje rękami i nie może sobie pozwolić na odrobienie masła do chleba”. Nie wymieniał nazwisk, ale pisał tak, że każdy w Guranowie mógł się domyśleć o kogo chodził. Zresztą nie zalecało mu na wskazywaniu palcami: ty Gajusie jesteś bogaczem, ty Kobryński jesteś reakcjonistą, ty Kałuski masz naturę kulaka — cho-dziło mu o rzućcie hasła: „Spółdzielczość to dobra rzecz”. Zdawał sobie sprawę, że artykuł wywoła burzę, liczył jednak na moralne poparcie ze strony robotników leśnych i całej górnej części wsi. Artykuł ukazał się w drugiej połowie stycznia, w dwa tygodnie po aresztowaniu sołtysa Sarny.

— Jakże to — pomyślał sobie Oleszko — ja przecież chłop, a skąd ty wiesz, że ja nie chcę komunę? A Bobiński też chłop i też komunista, i tamci z górnej części

— Jakże to — pomyślał sobie Oleszko — ja przecież chłop, a skąd ty wiesz, że ja nie chcę komunę? A Bobiński też chłop i też komunista, i tamci z górnej części

— Jakże to — pomyślał sobie Oleszko — ja przecież chłop, a skąd ty wiesz, że ja nie chcę komunę? A Bobiński też chłop i też komunista, i tamci z górnej części

— Jakże to — pomyślał sobie Oleszko — ja przecież chłop, a skąd ty wiesz, że ja nie chcę komunę? A Bobiński też chłop i też komunista, i tamci z górnej części

— Jakże to — pomyślał sobie Oleszko — ja przecież chłop, a skąd ty wiesz, że ja nie chcę komunę? A Bobiński też chłop i też komunista, i tamci z górnej części

(Dalszy ciąg na stronie 2-iej)

(Dokończenie ze strony 1)

zliwą bronią, biczem na zaco-fa-
ców wiejskich są artykuły w
„Chłopskiej Drodze”, lub „Groma-
dzie”. Zaden robotnik, zaden in-
teligent nie boi się tak „opisa-
nia w gazecie” jak chłop. W tym
małym środowisku, jakim jest wieś,
chłop, a szczególnie bogacz, czuje
się kimś niesłychanie ważnym
i z chwiłą, gdy w prasie ukaze
się nagana pod jego adresem, wydaje
mu się, że cała Polska patrzy na
niego, wytyka go palcami. I chce
nie cnieć, obok nienawiści do ko-
respondenta wiejskiego czuje przed
nim respekt, jak gdyby ten zamiast
pióra rewolwer miał w kieszeni.
Przez jakiś czas po ukazaniu się
artykułu Oleszki, u Gajusa odby-
wały się tajemnicze narady, ciałe
tam ktoś przyszedł — jak nie
Kobryński z Koszewskim, to Ka-
lusiński i Surmański i Albinia, często
leńczy Gradek.

W jaki sposób dowiedziono się,
o czym tam mówiono, trudno do-
ciec — dość na tym, że pewnego
wieczoru u Oleszki zjawili się Ba-
liński i Wiśniewski i z miejsca mu
oświadczyli: — Ty wiesz, jaki oni
tam biał na ciebie kręć? Po pierw-
sze, chcą cię z partii wyłazać, a po
drugie piszą jakiś list na ciebie
do „Chłopskiej Drogi”. Ale nie bój
się, z partii cię nie wyrzucą, bo po
twojej stronie będzie większość,
a do „Chłopskiej Drogi” my też
potrafimy napisać. A zresztą, co
tobie mogą zarzucić?

Istotnie, Oleszce nie nie mogli
zarzucić, bo ani wyzyskiwaczem
nie był, ani nie nikomu złego nie
zrobił, ani wreszcie o reakcjonizm
pomówić go nie było można —
i wreszcie sam Kobryński zwrócił
swoim kompanom uwagę, że
wszelkie próby „unieszkodliwie-
nia” Oleszki mogły wywołać cał-
kiem odwrotny skutek, i Ka-
lusiński przyniósł mu rację: „lepiej go
nie ruszać, bo śmierdzi”. Namyśla-
nie się jeszcze, na jakiej podsta-
wie mógłby Gradek odmówić Oles-
zce pracy w lesie, ale żadnej pod-
stawy nie wymyślono. Zwołnie
go — mówił Gradek — to napisze
do gazety, że jest małorolny, że
mu leśnictwo roboty nie daje i zno-
wu będzie krzyk.

Skończyło się na tym, że Oleszko
otrzymał dwa anonimowe listy
z pogrozkami i wyzyskami napi-
sane przez kogoś we wsi, ale wy-
słane aż z Kłodzka. Niemal rów-
nocześnie otrzymał z redakcji
„Chłopskiej Drogi” list zawierają-
cy słowa uznania i zachęty do dal-
szej współpracy i dzięki temu
listowi zrozumiał, że w walce
z miejscowym zaco-faństwem nie
jest osamotniony, że przez swoich
towarzyszy, robotników leśnych,
ma potężne zaplecze w Warszawie.

Rzecz jasna, że do Gajusa już
nie zachodził. Wiesz wyraźnie po-
dzieliła się na trzy obozy: 1) re-
akcyjną klikę Gajusa, Kobryń-
skiego, sekretarza PZPR Gradka
i kilku ich przyjaciół zabuźni,
2) postępową grupę Oleszki, Bo-
bińskiego, Wiśniewskiego i wielu
z tych biedniejszych z górnej czę-
ści wsi, 3) chwiejną, zdezeriowa-
ną, po części steroryzowaną
przez bogaczy grupę średniorol-
nych. Te same ugrupowania i w
tym samym stosunku procen-

towym utrzymywały się w partii,
liczącej około 40-tu członków. Zda-
wałoby się więc, że postępowcy,
mając w swej grupie potężne
zaplecze „Chłopskiej Drogi”, po-
winni byli łatwo osiągnąć zwycię-
stwo, zjednać sobie chwiejnych
średniorolnych, stłumić działalność
opozycjonistów. I Oleszce też się
tak zdawało, dopóki nie wpadły
mu w ręce egzemplarze „Nowych
Drog”, dopóki nie zaznajomił się
trochę z literaturą marksistowską.
Zrozumiał, że reakcyjniści miej-
scowi, ci z Guranowa, sami jako
tacy nie są groźni. Są niebezpieczni
i trudni do pokonania dlatego, że
również mają swoje zaplecze: w
gminie, w powiecie, a może i w
wójewództwie.

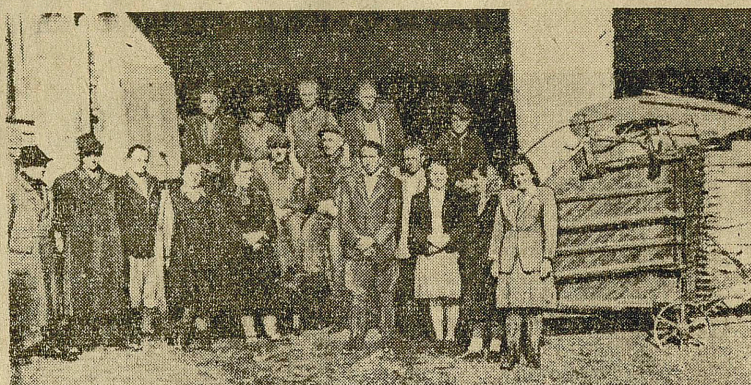
Wiosną 1949 r. powstał w Gura-
nowie ośrodek maszynowy. Półno-
mocnikiem i zarazem mechanikiem
ośrodka mianowano Bobińskiego,
bo ten znał się na maszynach —
podczas wojny obsługiwał młyn pa-
rowy. Ośrodek mieścił się wśród
rozległych zabudowań plebańskich.
Ksiądz Walczak zgodził się na to
bez wahania i nawet odstąpił Bo-
bińskiemu pokój mieszkalny na
plebanii. Ta jego ugodowość w sto-
sunku do gromady niewiele go ko-
szowała, ale on sam też nie miał
pretensji, by mu ją poczytywano za
jakąś ofiarę, czy dobroczynność.
Bobiński zabrał się do pracy z za-
pętem. „Ośrodek maszynowy” —
mówił do swych przyjaciół — to
początek kolektywizmu. A dobry
ośrodek, to już pół kolektyw. Nie-
stety, ośrodek nie był dobry. Bo-
biński dostał same stare maszyny,
wybrakowane gruchoty, których
już nikt nie chciał naprawiać. Ga-
jus np. oddał do ośrodka zdobytą
gdzieś starą, zapasową kopaczkę, a
drugą, o wiele lepszą, zatrzymał dla
siebie. Kosiarkę też zatrzymał, bo
jak sam mówił — codziennie musi
kosić mieszankę dla bydła, więc nie
będzie za każdym razem biegał po
maszynę do ośrodka, żniwiarki też
nie odda, bo sam ją zremontował,
kosztowała go trzy tysiące. Zresztą
gmina się na to zgodziła, gmina
idzie Gajusowi na rękę, więc grom-
ada nie ma nic do gadania. Bo-
biński szperał po domach, po war-
szatach, zdobywał śruby, muterki,
piły, nożyki do kosiarek, jeździł do
gminnego ośrodka i upominał się
o części zapasowe, o nowe płótno
do snopowiązałki — i w końcu re-
montował wszystkie maszyny. Oles-
zko w tym okresie często go od-
wiedzał i pomagał w pracy. Nieraz
przynosił z sobą egzemplarz „No-
wych Drog” lub inne czasopismo i
czytał mu ciekawsze fragmenty
rozpraw leninowskich albo spra-
wozdań. — O, widzisz — mawiał
niekiedy Bobiński, mając na myśli
Gajusa i Gradka — z tego im tre-
ba wygnać kiedy na zebraniu
partyjnym!

Zbliżały się zima. Normalnie
zaczynają się one w Guranowie
(400 m. nad poziom morza) w ostat-
niej dekadzie lipca. Ubiegłego roku
wskutek długotrwałych deszczów i
chłódów panujących w tej okolicy
zboża dojrzewały powoli i dopiero
piątego sierpnia zaczęło je kosić na
południowych stokach. Atoli w dwa
dni później nad Guranowem prze-
warła się burza z piorunami, na-
stępnego dnia znowu lunęło i już z

krótkimi przerwami lało do dwu-
dziestego sierpnia.

Nabrzniałe deszczem chmury
napływały bezustannie od strony
Kłodzka i przewalały się ku zale-
sionej i górzystej granicy czeskiej.
W taki czas wydaje się ludziom, że
tak już będzie zawsze i że taki sam
potop zalewa cały kraj — stare ba-
by przebąkują o potopie, o końcu
świata. Potok z rozgłosnym szu-
mem toczył swoje mętne wody,
zrywał drewniane mosty i podmy-
wał szosę, a na stromych zboczach
po jednej i drugiej stronie wsi
wielkie polacie zboża przyklepane
ulewą pokładły się na ziemię, co z
daleka wyglądało, jak gdyby jakieś
wielkoludy wytarzały się po nich.
To co skoszone, na garściach lub
snopkach — zrosło; ziarno w kosach
napęczniało i wypuściło białe kiel-
ki — i ludzie już wiedzieli, że z te-
go zboża nie będzie chleba.

Tylko dzieci miały ogromną
ucieczkę, godzinami wystawały nad



W ośrodku maszynowym w Guranowie

wiezbzanym potokiem w nadziei, że
lada chwila stanie się niebywała
katastrofa: runie ostatni most, za-
wał się jakiś dom. Niestety, oprócz
dwóch mostów żaden dom się nie
zawałił, chmury się przetrwały, wy-
jrzało słońce i woda w potoku za-
częła smutnie opadać.

Wtedy guranowscy osadnicy wy-
rolili się z domów i poszli oglądać
szkody poczynione przez ulewę.

W drugi dzień pogody Oleszko
poszedł do ośrodka maszynowego;
zastał tam już spore ludzi i akurat
trelił na jakąś kłótnię. Okazało się,
że to mechanik Bobiński spiochy na
młodego śsadnika Miklasa.

— Tobie, psimacie, bieda mało
jeszcze dojadła! Zdałoby ci się że
dwa lata niemieckiego lagru, to byś
inaczej na ludzi patrzył.

— Może ja więcej przeszedł niż
ty — odburknął młody Miklas wy-
cofując się jednak poza plecy osad-
ników.

— Tyś przeszedł, ale jak tobie
Ukrainiec psuabrat, toś ty gorszy
psuabrat! Tobie wszystko co obce,
to śmierdzi, a sam co jesteś? Jak by
ci dać prawo, to byś sam hulał jak
banderowiec! No, no!

— A o co chodzi? — zapytał
Oleszko, podchodząc do mechanika.
— Bo jemu się nie podoba —
rzekł Bobiński, wskazując kluczem
francuskim na Miklasa — że Fi-
gurskiemu maszynę na południe
daje. Powiada, że to psuabrat Ukrai-
niec, a maszynę trza najpierw Po-
lakom dać.

— Przecież Figurski nie Ukrai-
niec — wtępił któryś z osadników.
— Ja wiem, że nie Ukrainiec, ale

choćby nawet był, to i co? Ważne
jest, że chłop porządny, a czy on
Ukrainiec czy Tatar, co komu do
tego? Jakaś taki nacjonalista, to se
Hitlera powieś w domu na ścianie!

— Dajcie mu spokój, Bobiński —
odezwał się któryś ze starszych —
on nawet nie wie, co to jest nacjo-
nalista. Za młody, żeby wiedział.

Bobiński zapalił papierosa i zwr-
cając się do bliżej stojących rzekł
już tonem łagodniejszym:

— Ano pewnie, jakby go zapytał,
co to jest nacjonalista, to by nie u-
miał odpowiedzieć, ale za to robi i
myśli jak nacjonalista. A skąd się
to u niego bierze? z powietrza?
Słyszycie co stary gadają, to i on to
samo. Tylko, że stary są cwani i
nie pójdą na rynek wolać, że Po-
lska od morza do morza, bo wiedzą
czym to pachnie. No, no mamy tu
takich, nie trza palcem wskazywać.

— Gajus... — odpowiedział któ-
ryś z osadników, inni chrząknęli
dwuznacznie, zaśmiali się.

A Oleszko przyszedł tu właśnie
w sprawie Gajusa. Koszenie jest
pilne, zwłaszcza na południowych
stokach, gdzie słońce dogrzewa
i ziarno zaczyna się wnet sypać, a
żniwiarze mało. Czemuż to maszy-
na Gajusa stój bezczynnie na pod-
wórzu?

— Przecież Gajus miał kosić od
rana — odparł Bobiński.

— Nie, nie kosi, widziałem, że
powrócił robi. A zresztą jego zbo-
że nie pilne, bo na północnej stro-
nie. Maszynę trzeba mu zabrać!
Kto pójdzie za mną?

Zgłosiło się dwóch, którzy już
czekali pod plebanią z parą koni.
Gajusa zastali z jego siostrą i nie-
odowną autochtonką Barczową
przy powrościech w stodole.

— Panie Gajus, zabieramy żni-
wiarkę, bo potrzebna.

— Nie zabieracie, bo żniwiarka
jest moja — odburknął Gajus —
macie maszynę w ośrodku, to bierz-
cie.

— Pan wie dobrze, jakie maszy-
ny są w ośrodku, boś pan sam dał
zepsuta kopaczkę. Biercie, zapre-
gajcie! — zawał do swych towa-
rzyszów stojących przy koniach, a ci
natychmiast ruszyli ku maszynie.

— Panie Oleszko! — zawał Gajus
porzucając robotę i wychodząc
ze stodoły — pan za to będzie od-
powiadał!

— Przed kim, przed prezydentem
Mościckim? Skończyły się wasze
czasy, teraz gromada ma głos, nie
wy. Poczekajcie jeszcze trochę, to
wam całkiem nosa utrzymi! Wio-
jedźcie! — zawał do żniwiarzy.

W I E K XX

(WYRÓŻNIONA PRACA KONKURSOWA)

miecka, komisaryczna) zapowia-
da, że pierwszy kładzie się w szpi-
talu, na co mu leśniczy któryś po-
wiedział:

— Tu nie będą Tworki, tu zwy-
kli spulnaci...

Miejscowi ludzie i wyjątkowo
tutaj porządnie pracujący oddział
RGO, zgromadzili koce, pościeli,
poduszki. Było już niemal wszy-
stko. Brakowało pomieszczenia.

A pociągi jechały już na Suche-
dnów.

Losy wojny pomogły inicjatywie
mieszkańców. Spłoszona bliskością
radzieckiego frontu grupa niemie-
ckiej „Straży Leśnej” — „Forst-
schutz” zwała wieczorkiem cicho
i dyskretnie. Rano, w jesiennym
błocie czapowały wozy wiozące
„urządzenie” szpitalne do opusto-
szonego domu.

Po południu przyszedł pierwszy
transport. Na stacji czekały fur-
manki, nosze, lekarze, zmobilizo-
wani „ad hoc” sanitariusze i sani-
tariuszki.

Chorych i rannych było dużo.
Więcej, niż miejsce w szpitalu.
Przyjechały też szczęśliwie pie-
legniarki zawodowe z apteczką
i narzędziarką chirurgiczną.

Lekarze szpitalni „zniknęli” po
drodce. Musieli ich zastąpić mie-
scowi.

Tak powstał szpital w Suche-
dnowie. Działal do lata 1945 ro-
ku, lecząc chorych z Warszawy,
chorych z gminy, lecząc, dopóki
trwała wojna, także partyzantów.
Leczone bezpłatnie. Chłopi ze
wszystkich gromad, czym kto
mógł, wspomagali szpital.

Breszko mawiał wtedy:
— My umiemy rządzić. My
umiemy organizować. Dla nas so-
cjalizm, to taka żywa rzecz, ży-
wa. Ludzka.

Szpital był dumą Suchedniowa.
Dumą organizacji partyjnej, która
w nielegalnych warunkach była
siłą napędową całej akcji pomocy
dla wysiedleńców.

— Dobre wtedy mieli zastrzyki
w szpitalu. Ukłudo człowieka, jak
pohla, a ból przechodził — wspo-
mina Breszko.

— Ale po wojnie, gdy ruszyły szpi-
tale kieleckie, skarżyskowskie, ra-
domeckie, gdy przed ludźmi stane-
ły dziesiątki spraw ważnych, gwał-
townych, ogromnych — suche-
dnowski szpital tracił swój sens.

Zamierał. Na jego miejsce powstał
Ośrodek Zdrowia i Okręgowa Izba
Porodowa.

— Nie można powiedzieć —
twierdzi leśniczy Cioroch — dobra
rzecz Izba. Kobiety mają gdzie ro-
dzić i człowiekowi od krzyku gło-
wa nie puchnie. A wiadomo —
krzyczyć musi, bo boli. Tyle, że
nie pomożesz i gryziesz się tym.
Izba zabiera i gotowe.

Stary Świtek żuje coś w ustach,
jakby miał spłunąć i powiada:
— Dobra rzecz Izba, ale jeszcze
mała. Kobiety się, rodzi setki.
Sama Izba nie opędzi.

Jego bratanek, partyjny aktyw-
sta, podejmuje dyskusję:
— Co, chciałbyście, żeby nam
tu kliniki założyli? Tyle w kraju
roboty. Dobrze, że jest Izba, taka
ładna i czysta.

Breszko słucha uważnie. Kiedy
Breszko słucha, myślisz — czujny
lis weszy.

— Tak to można do jutra. Jeden
mówi, że mało, drugi, że starczy.
A jeden i drugi zwala sprawę na
państwo, na rząd. Nieuczciwie. Ty
— zwraca się do starszego Świtka
— masz pretensje, że ci tu kliniki
nie budują. Pewnie, przydałaby
się i klinika. Ty, Julek — mówi
młodszy — powiadasz, że nie
można kliniki, bo rząd teraz zaję-
ty; i też czekasz. Zadowolony. Je-
den czeka, bo jest zły, a drugi, bo
szczęśliwy. A rzecz jest inna. My
mamy się starać. Pomóc władzom,
pokazać naszą troskę o zdrowie.
Nie czekać.

Teraz wszyscy rzucają się na
Breszko, że zrobił ładny referat

— Jak skończycie, to sprowadźcie
maszynę tu. A jak tam u Kałuskie-
go, maszyna w ruchu?

— Tak, Kałuski kosi! Tylko u
Surmańskiego zdaje się, maszyna
stoi. Do Kobryńskiego też wartoby
zajrzeć.

— Zaraz tam pójdę!

I Oleszko chodząc po wsi, ścigał
wolne maszyny do ośrodka i wysy-
łał je tam, gdzie koszenie było naj-
pilniejsze. Następnego dnia uzgod-
nił z Bobińskim plan pracy, zwo-
ływał ludzi i zaczął ich do ko-
szenia nie tylko w dzień, ale i póź-
nym wieczorem — pogoda niepew-
na, przecież to już koniec sierpnia,
a i na konieczyń i na potraw też
przychodzi czas. Ludzie pyskowali
trochę, mruczełi, że Oleszko siedzi
bez przerwy im na karku, ale w
gruncie rzeczy byli zadowoleni,
gdy po dziesięciu dniach gorączko-
wej pracy w polu pozostały tylko
gdzieniegdzie samotne „laiki”. Zre-
szta nikt się nie ważył wystąpić
jawnie przeciw Oleszce, bo znow
w tym czasie ukazał się w „Chłop-
skiej Drodze” jego artykuł pt. „Na-
sza Dyktatura” — znow Oleszko
poczuł za sobą potężne zaplecze i
już gotów był do wystąpienia na
gromadzkim zebraniu — czekał
tylko okazji. W swym artykule pi-
sał między innymi tak: „Są tacy,
którzy twierdzą, że proletariatus
stanowi mniejszość i dlatego nie ma
prawa do rządzenia społeczeń-
stwem. Otóż właśnie ci, którzy tak
twierdzą, stanowią znaną
mniejszość.

Mamy we wsi około 80-ciu go-
spodarzy. Dwunastu z nich nie chce
dyktatury proletariatus, około dwu-
dziestu zajmuje stanowisko chwiej-
ne, niezdecydowane, a reszta, tj.
około pięćdziesięciu, wyraźnie opo-
wiada się za socjalizmem, za dyk-
taturą proletariatus. Jutro, być
może i ci chwiejnie przyłączą się do
nas. Jest nas ogromna większość,
mamy prawo do rządzenia”. I jesz-
cze: „W nas samych tkwią jeszcze
stare nawyki, jeszcze się boimy
wszystkiego, co nowe, jeszcze nami
rządzi strach przed nieznanym, ale
strach ten zniknie z chwiłą, gdy
pierwsze plugi kolektywne zaozra-
nasz odwieczne miedze”.

W połowie grudnia odbyło się w
Guranowie ważne zebranie grom-
adzkie. Przyjechał ze starostwa
jakiś delegat, przyjechał wójt i se-
kretarz gminy, przy stole prezy-
dium zasiadł także nowy sołtys, Ja-
necki i sekretarz P.Z.P.R. Gradek.
Najpierw przemawiał delegat, po-
tem wójt — obaj zwracali się do
osadników z gorącym apelem, by
nie sprzedawali zboża prywatnym
handlarzom, lecz dostawali je do
spółdzielni — mówili przekonują-
jąco, udzielali głosu osadnikom,
przyniali im rację, gdy chodzilo o
zaopatrzenie w zboże robotników
leśnych — jednym słowem dogadał
się z sobą.

Później było gorzej. Delegat po-
wiatowy odczytał z jakiegoś broszu-
ry artykuł propagandowy o spół-
dzielniach produkcyjnych.

Potem omówił statut 3-ch typów
spółdzielni produkcyjnych. Nastę-
pnie zabrał głos sekretarz Gradka
i też głąbił. Mówił, że spółdzielnie
produkcyjne już w Polsce istnieją,
że ludzie tam pracujący są zado-
woleni i mają co jeść — wreszcie
zakończył tak: „Jeżeli wam ktoś

mówi, że w takiej spółdzielni jest
ludziom źle, to mu nie wierzyć,
bo nie taki diabeł straszny, jak go
malują”.

Oleszko nie mógł się doczekać
konca tej „przemowy”. Pierwszy
zapisał się do głosu, wstał, pcpa-
rzył na Bobińskiego i swych
współpracowników leśnych i prze-
mówił:

— Towarzysze i obywatele! —
Chciałbym tu przede wszystkim
powiedzieć jedną rzecz: nie mamy
przed sobą ani dwóch, ani trzech
dróg do wyboru. Dla nas istnieje
tylko jedna droga: droga do socja-
lizmu! Kto myśli inaczej, ten pa-
try tam, gdzie rządzi faszyzm, a
myśmy już widzieli faszyzm i gru-
gi raz go widzieć nie chcemy! Na-
sza droga, to socjalizm, a socjalizm,
to przebudowa gospodarcza, to go-
spodarka kolektywna. I nigdy się
nie zgodzę na to, co powiedział tow.
Gradek, że spółdzielnia produkcyj-
na, to nie taki diabeł straszny, jak
go malują, bo to znaczy, że jednak
diabeł i jednak straszny (w kilku
miejscach sali rozległ się śmiech).

Tak można powiedzieć tylko o
gospodarce prywatnej, bo sami wi-
dzimy tu we wsi, do czego takie go-
spodarki prowadzą. Mamy takich
gospodarzy, co siedzą jak psy na
kopkach siana, sami tego siana nie
jedzą i na krowy warczą (czyż
głos pod ścianą: „Do rzeczy, do re-
czy!”). O takich gospodarzach mo-
żna powiedzieć, że nie taki diabeł
straszny, jak go malują. Ale my ro-
zumujemy, tow. Gradka. Jeżeli tow.
wczoraj wieczór nasłuchiwał się ra-
dia londyńskiego (— głos pod ścia-
ną: „Nie twoja sprawa wolno i to-
bie!”), wśród robotników leśnych
pyskanie i głos Bobińskiego: „Cicho
tam! nie przerywać mu!” i nagał się
na ten temat ze swoimi przyja-
ciółmi, to pewnie, że w ten dzień
głupio wystąpić tu przed nimi i na-
gle zrobić się aktywistą partyjnym.
Jeżeli wam sprawa spółdzielczości
nie leży na sercu, toście nie po-
winni w tej sprawie zabierać gło-
su. I nie myślcie, że my też od ra-
zu przystąpimy do zakładania
spółdzielni. Mamy czas.

Zaczekamy aż wszystkie maszy-
ny będą w ośrodku i budynki sta-
jenne wyremontowane. A po dru-
gie, nie myślcie, że was od razu
przyjmujemy do zespołu (głos Ga-
jusa: „Albo my ciebie!” — i głos
Bobińskiego: „Nie przerywać, do-
brze gada!”) i damy wam ręce
odpowiedzialną robotę. Nie! bo by
prędko zespół diabli wzięli. Spół-
dzielnia produkcyjna składa się
przede wszystkim z ludzi a po-
tem dopiero z ziemi, bydła i ma-
szyn — i zanim przystąpimy do za-
kładania spółdzielni, musimy się
dobrze zastanowić jakich wspólni-
ków sobie dobrać! I mówię tu
otwarcie, że pierwszy będę prze-
ciwko założeniu spółdzielni, jeżeli
się będą pchał do niej tacy ludzie,
jak pan Gajus i Kobryński!”

Skończył a wokoło niego zerwał
się huragan oklasków.

Oleszko wyszedł w otoczeniu
swych towarzyszy, którzy podobnie
jak on, zdawali sobie sprawę, że
walka klasowa, jaka rozgorzała w
Guranowie, nie jest łatwa. Ale
przecież jest nas tu spora gromada
— zakończył rozglądając się po
ludziach otaczających go zewsząd.

HENRYK WORCELL

KAZIMIERZ DĘBNICKI

Zdrowie człowieka jest jak las
— mówi Stanisław Breszko, pa-
trząc na ciemniejącą w zmierz-
chu ścianę świetokrzyskiego boru.

— Dlaczego, Breszko?

— III, człowieku, 55 lat łażę po
puszczy. Znam ją. A reumatyzm
mam też 55 lat. Przebrzydła cho-
roba. Człowiek do ginącego drze-
wa podobny. Pogięty.

Porównania Breszki bywają nie-
codzienne. Nietawie. Zdrowie czło-
wieka doprawdy do lasu można
przyrównać. Na pozór ładny, szu-
miący, daje cień w skwarne lipco-
we dni. A coś się od środka nie-
widocznie dla miejskiego oka psu-
je. Spójrzysz, za bardzo wyżywi-
cowali i ginie drzewostan. Zwie-
rzęta wybiły — las na tym cierpi.
Iglaste wyrąbano na opał — liści-
ste chorują. I tak wszystko się
w lesie łączy, wiąże w jeden zwa-
rty mechanizm przyrody. Jak
ludzie zdrowie.

— Reumatyzm — ciągnie Bre-
szko, mocując się z ogromnym bu-
tem — choroba fałszywa, jak klu-
sownik, jak złodziej leśny. Nie wi-
dzisz, nie czujesz, aż nagle leżysz
i boli, cholera, wszędzie. Nogi i rę-
ce i serce. Kornik taki ludzki —
reumatyzm.

Las leczymy. Zniszczone przez
okupanta hektary zadrzewionej
nawierzchni zalesia się dziś inten-
sywnie. Wstrzymano wyręb w la-
sach wokół Suchedniowa Kiele-
ckiego. Surowe kary grożą złodzie-
jom drewna. Cicho jest w lasach
okolicznych, jak w pokoju ciężko
chorego człowieka. Klną prywatni
właściele tartaków, ale las po-
woli odżywa, nabiera siły, odrasta.
Do zdrowiejącego lasu wraca zwie-
rzyna.

— Przedzaj — mówi Breszko —
las będzie zdrow, niż ja mój reu-
matyzm wyleczę.

I patrzy z zalem w stronę osady
Suchedniów, zapalającej światła,
migające teraz w dole pod kru-
kowską górą, jak setki tysięcy
świełtlików.

— Powinności, Breszko, powa-
żnie się zabrać do leczenia. Przecież
wam całkiem nogi powyginę.

— Eee, moja choroba to nie, to-
warzysz. W gminie 14 tysięcy ludo-
zi. A wiecie — 14 tysięcy ludzi,
to 28 tysięcy chorób. Każdy prze-
cie coś tam nosi. Jeden bolące
gardło, a drugi bolące serce. Małe
i duże sprawy, ale ludzkie. A z le-
czeniem, to widzicie tak...

Wiele już spraw referował mi
Breszko. Znamy się dawno. Bardzo
dawno, jeżeli lata okupacji liczyć
podwójnie. Wiele spraw ogląda-
liśmy zbliżka. Wiele spraw Bre-
szko załatwiał, przemierzając na
swych bocianich nogach, obutych
w giganty szwajskiej produkcji,
wszerz i wzdłuż gminę Suche-
dnów. 18 kilometrów wzdłuż,
10 wszerz.

Były wśród nich trudne proble-
my. Breszko mawiał wtedy:

— Ciężka sprawa. Nie humory-
styczna.

Dzisiaj, referując sprawę zdra-
wy ludzkiego, mówi znowu:

— Ciężka sprawa. Nie humory-
styczna.

Chodzi o ośrodek, o lekarzy.

Zaczęło się to wszystko w czasie
okupacji. Na wielką skalę. Wielką,
oczywiście, dla Suchedniowa. Woj-
na pożarowała tu ludzi ze wszy-
stkich stron. Jednych wprost do
lasu, do partyzantki; innych na
przetrawanie w spokojniejszej, niż
miejska atmosfera; innych dla za-
robku. W tej dużej liczbie obcych,
co najechał lasy i wieś, byli leka-
rze, witali

(Dokończenie ze strony 2-giej)

mroź. Padał rzadki, wczesny śnieg. Byszko, przewracając się na boku wykładał reumatyzm i zamiast „dobranoc” — rzucił:

— Jutro pójde do Ośrodka.

Ale raniem trzeba było najpierw zająć się cielakiem. Był to dziwny cielak. Może zresztą nie on dziwny, a krowa. Ocieliła się w nieodpowiednim momencie. Nie można powiedzieć, cielak — zwierzę było przyjemny, łagodny i jakby wystraszony swoją sytuacją. Byszko bardzo go polubił. Martwił się tylko, że byłby coś cherla. Tego ranka postanowił:

— Będzie w chałupie. Trudno. XX wiek, ale cielak choruje. Delikatny. Ciepła mu brak.

Okropnie się domownicy rozłościłi:

— Sądzieli będą się śmiać. Ojciec o postępie gada, a zwierzę do domu bierze. Brud. Robactwo namiesze.

Wszystko to była prawda, ale Byszko zdecydował:

— Jakbyśmy mieli spółdzielnię rolną, takie, jak się to mówi, moderne urządzenia, to co innego, ale jak w oborze zimno, trzeba się na chwilę cofnąć do dawniejszych lat. Na cawie, mówię, bo mój zdrowy cielak, to później wspólna, spółdzielcza, zdrowa krowa. I toż majątek.

— Ojciec tak zawsze dziwnie wymyślał sprawę.

A Byszko spokojnie:

— Dialektyka. Ot, co — i uśmiechnął się sam do siebie.

Poszliśmy do ośrodka.

Ośrodek ładny, czysty. Byszko się. Ludzi dużo.

— Coż to, Byszko — skreca was? — pyta stara Dulebina.

— Wy niby jak, prości?

— Przyszliście się Byszko kobiecie spod okna. Nie powiem — dorzucił — dobra z was kobieta i im więcej lat, tym ładniejsza. Jeszcze z 10, a oświadczyć się wam.

— Jak już was na amen pokreśli... — chciała się odciąć.

— No! Pewnie. Teraz to mi jeszcze żona potrzebna, a za ten czas nianki będę chciał. Teraz wiecie?

Ludzie roześmiali się. Każdy wiedział, że nie lubili się oboje. Dulebina, bogata gospodyni, hen, gdzież zaga iasu, gdzie ziemia lepsza, coś tam, widać, z Byszko kłóciła.

— Stara cholera, mruknął, kiedy weszła do lekarza; bogata jucha. Ziemia pszenna, parówki pracują, córka sklep założyła; jeden syn w Anglii, drugi w kryminale za handel nielegalny, a ona do lekarza bezpłatnie, co Ośrodek.

Dulebina lubiła widać nie tylko bezpłatnie, ale i długo. Zza drzwi gabinetu dochodził już niecierpliw glos lekarza.

— Mówię wam, nie wam nie jest. Co, w dołku gniecie, powiadacie? „Skapstów was gniecie”...

— Kiedy mówię wam, — zę się wczoraj ledwo do domu dowlokła, tak głośno.

— Jecie za dużo. Chłopakom, co u was robia, nie dajecie co do gęby włożyć, a sama coraz grubsza.

Trwało tak dość długo, aż Byszko poniosło. Wstał. Otworzył drzwi lekarskiego pokoju.

— A nie możecie to do doktora prywatnie? Już za to, co parobkom płacicie, starczy na lekarza. Nie wstyd wam? Biedni ludzie czekają, a wy głowę zawracacie. I czym? Waszym dołkiem.

Znowu poszedł śmiech po ludziach. Ale pomogło. Wyszła. Już na wóz w dwa dorodne konie zaprzężono siadła; gdy coś ją tknęło. Wszedła głowę w drzwi:

— Wy, Byszko, lepiej waszych kości pilnujcie, żeby wam reumatyzm nie poskręcał, a nie mojego dołka. Komisarzem od polityki bądźcie sobie w chałupie. Nie ze mną.

Roześmiał się Byszko.

— Jurna kulaczka. Pyskata. I tak jej nie nie pomoże.

Ludzie pokiwali głowami zgodnie. Któryś wziął stronę Dulebiny:

— Pewnie spółdzielnię rolną nakazacie robić. Dlatego tak na Dulebinę zezem zerkanie, Byszko?

— Spółdzielnię? — Byszko tylną wybił, niebieskim oczami — spółdzielnię, mówicie? Ani ja, ani nikt nie nakaze. Sami ludzie robią, ale wtedy nie będziecie człowieku za wasz miód tyle groza z ludzi drzeć, ani groz odliczać skąpo waszym parobkom, tak!

Ludzie roześmiali się ponownie. Każdy wiedział przecież, że tamten bogacz. Niby nie, że ziemi ma wiele, ale i handel prowadzi, miód produkuje i co pszczoła wyrobi — on sprzeda. Za drogie pieniądze. Jak trzeba było na lekarstwo z Niemca, to choć biedak przychodził, nie użył. Za ćwierć szklanki — polczył.

Nie głupi przy tym, dobry gospodarz, to i do komisji kontragentowej go brali za okupacji i zawsze tak wycelował, że siebie ochronił, a innym, biedniejszym, sennie, naukowo, jak powiada Erzszo, — wylczył.

No, a że tak naukowo wylczył, więc i teraz jest w tej innej громадській komisji, tylko że już koło niego wzbiera szum. Niezadowolony.

Byszko, patrząc niecierpliwie w drzwi gabinetu lekarskiego, rzucił mi po cichu do ucha:

— Sprytny on. Ziemi nie ma za dużo, ale handlarz, bogacz.

Sam interesy robi, a inni ziemię dla niego orzą, nawożą, zboże zbierają. Ale powiedzcie mu — kulak. Obraża się. Gdzieżby? Sześć hektarów ma tylko... Sprytny. Po komisjach chciał rządzić. No, teraz będzie z tym koniec. Dosyć.

— No, dosyć tego czekania! — woła od progu lekarz. Kiwa na Byszko, żeby szedł na zastrzyk.

— Ludzi nam brak. Lekarzy — mruczy nad strzykawką stary doktor.

— Będziecie gadać, gadać i igłę krzywo wbijecie — niespokojnie zauważa Byszko.

— A co, może nie brak? — rozindycza się lekarz.

— Brak. Pewnie. Uważajcie na igłę — mityguje Byszko.

— Ale do zastrzyku nie doszło, choć wszystko już było gotowe, a nawet Byszko wciągnął na twarz cytrynowe skrzywienie, świadczące o psychicznej gotowości na ukłucie.

Wleciała dziewczynka, goniona zgorszonym szmerem głosów czekających ludzi.

— Panie doktorze, siostra woła. W izbie dwie naraz rodzą.

Doktor, jak stał, skoczył w drzwi. Jeszcze tylko zdążył wrzasnąć:

— Siedemdziesiąt lat mam! Lekarzy brak, cholera!

I zniknął, a Byszko powiedział:

— Ciężka sprawa — i spuścił zawinięty do góry rękaw.

Ludzie czekali cierpliwie. Wysełdził tylko ów bogacz, mruczając obrażonym tonem:

— Człowiek pracuje, a jak cholera, lekarza nie ma. Demokracja, widzicie ja...

Odpowiedziało mu wrocie milczenie, zlewające się z mrokiem, ogarniającym izbę.

Kiedy lekarz wrócił, powiedział krótko:

— Dwie matki, troje dzieci. W izbie jakby pojasniało.

— Zapalcie światło — dorzucił doktor.

Wysłaliśmy z Ośrodka wieczorem. Byszko syczał, że mu igła krzywo weszła, pospasywał trochę, że czas zmitrzyć, ale wreszcie powiedział:

— No cóż, ludzi załatwiono; ale tak długo ciągnąć rady nie da. Trzeba więcej lekarzy.

Kiedy wokół cielaka, odgradzonego od kuchni drewnianą ścianką, rozsiadli się leśnicy Ciorch, stary cwanik Świętek i młody technik, jego bratanek, kuspicka głowa Sylwester Wiklo i jeszcze kilku.

— Byszko stwierdził:

— Suchedniów musi dostać co najmniej jednego młodego lekarza na stałe i albo dodatkowo lekarzy na sezon letni, jak dzieci przyjeżdżają na kolonie, albo obóz studentki — medyków.

— Dobrze wam mówię — musi, co najmniej. A znajdzie ich. Czy to doktor do urzędu nie pisał?

— Roześmiał się niewinnie Ciorch.

— Najpierw przestan — przykaż cielaka w ucho, oburzył się Byszko, — zwierzę delikatne, chore, nie denerwuj. A teraz ci powiem.

— Po pierwsze lekarze będą, bo władze ich z większych miast przesiedlają. Po drugie — jak list doktor nie pomógł, napiszemy drugi i trzeci, sami pojedziemy. Do Ministra Zdrowia, do samego Minca, że nam tu przemyśli robak, życie znaczy się, a lekarzy brak...

Teraz atakowali go chórnie, że ci przesiedleni, to mićscy kanciarze, spekulanci chorób, że wieś zdeprawują, skórę z ludzi ściągają.

Na to wszystko Byszko, kiwając głową, mówił:

— Głupis. Ściągną z tych, co mają, a z biednych? No, my ich nauczymy nie ściągac. My już tego wielu nauczyli. I ich nauczymy.

Nie nadsia się — przegonił. Musi przyjść drugi, lepszy. Trzeba siebie samego cenić, swoją siłę.

Przypomnieli mu więc, że lekarz tutajsi pisał kilkakrotnie do władz, prosząc o przydzielenie lekarzy, względnie młodych medyków na okres letni, kiedy w Suchedniowie przebywa parę tysięcy dzieci (w tym dzieci polskie z zagranicy) na koloniach. Odpowiedź była negatywna.

— Pisał, że młodzi studenci uczą się forsz brać za leczenie; że demoralizacja, rozumiecie, taka historia! — referował Ciorch.

— Biurokrata pisał — autorytatywnie stwierdził Byszko, biurokrata. Nas nie zna. Sprawy nie zna. U nas nikt się nie demoralizuje, u nas się najwięcej nauczy. Ludzi pozna, choroby ludzkie pozna, pracę ciężką.

A i sam odetchnie. Powietrze dobre; mówią, że tu urodzliwość będzie.

Jeszcze mu coś powiedzieli, a Byszko wtedy już zły naprawdę, nogą tupnął, aż cielak skoczył przerażony na cztery nogi i wbił spojrzenie wilgotnych, aksamiutnych oczu w ludzi.

— Głupis — mówię — biurokraty pisał, bez znajomości sprawy. Nie chcieli lekarza — trudno; nie chcieli medyka — trudno, ale obóz studentki na lato przysłać mogli i mogą. Zwykle biurokraty...

— Ale my poradźmy, my partyni.

Byszko się zasał, zmęczył, poglądził cielaka po ciężkim ible.

Z okien widać było elektryczne światła innych domów.

Sylwester Wiklo powiedział niby do siebie:

— Mam pomysł z tymi latarniami na Kruku, można będzie założyć. Całą noc będzie widno. Lekarzom też się przyda. W samym Suchedniowie takich nie będą mieli.

A Byszko z uśmiechem:

— Słowo daje, XX wiek!

KAZIMIERZ DĘBNICKI

KONKURS NA „REPORTAŻ O WSI”

Głosy członków Jury

Stefan Atlas

Godność „jurora” w licznych konkursach stawiała się coraz bardziej wątpliwym zaszczytem. Szacowne nazwiska, obiecujące tytuły, poprawna, okrągła forma stylizowana pierwszych zdań, a potem... pustka, nuda, przeraźliwa i kłopot, co z tym zrobić, jak zakwalifikować, kogo nagrodzić? Niemal wszystkie komunikaty sądów konkursowych zaczynały się od słów: „Jury postanowiło nie przyznać pierwszej nagrody”.

Przerazenie ogarnęło mnie, kiedy z redakcji „Wsi” przyniesiono sporą teczkę prac nadesłanych na konkurs i zaproszenie do „jury”. Nowa nuda! Zapełniłem stek koturnowych komnatów o wsi napisanych przez ludzi, którzy sądził o wiejskich problemach na podstawie dorocznych wycieczek do Wilanowa.

Tekturowa teczka, koloru zgniłej zieleni, zniechęcała do otworzenia. Trudno, trzeba się przemoc. Pierwszą posiedzenia zbliża się. Pierwszą raportą „Ludzie z Przypisów” i pierwsze rozczarowanie. Zle powiezione. Pierwsze ośmienie. Od dawna, od bardzo dawna nie czytałem niczego tak „jednym tchem”, jak tego właśnie raportu.

Od pierwszego zdania do ostatniego. Miałem przed oczyma prawdziwą dzisiejszą wieś, widziałem jej ludzi i ich sprawy.

Natychmiast rozpocząłem lekturę drugiego raportu „Rewolucja w Guranowie”. Rzecz działa się na

ws, a mnie się zdawało że to dokonuje się rewolucja w polskim piśarstwie. To już nie był tylko raport o wsi, to była epopeja dzisiejszości. Gorący kawał życia, wyrwany z żywego organizmu. A forma? Forma też nowa. Odkrywcza, niewywiechana, niewyszukana — a prosta w tej chropowatości artystycznej. Człowiek, który to napisał zył problemem, był w nim, walczył, ponosił porażki i zwyciężał, trwał w walce, nie ustawał... Tak pisywali tylko wielcy radzieccy artyści frontowi, skromnie nazywający się „korespondentami”, którzy pisząc o walce, byli żołnierzami.

„Rewolucję w Guranowie” mógł napisać tylko jej uczestnik. W tym tkwi siła przekonania i artystyczna doskonałość utworu. Wiesz na Ziemiach Odzyskanych. Osadnicy. Ludzie z różnych stron, różnych zapatrywań, różny skład społeczny. Na Ziemi Odzyskanej szedł repatriant, szedł bezrolny nędzarz z Małopolski, wytrwały, przyzwyczajony na piaskach do twardej pracy chłop z Kielecczyny, ale szedł też ziołdziszabrownik, wydziedziczony obszar, szedł bandyta, którego „bezpieczeństwo” następowało już na pięty, szedł chiński filozof, kombinator, kulak pamiot zakładający sklepi i karzmy, obejmujący miły i staw, folwarczan resztki i małe fabryczki. Nie darmo przecież Mikołajczyk był wówczas ministrem rolnictwa, nie

darmo w Ministerstwie Ziem Odzyskanych zasiadali Czajkowsky obok Dubieli. „Kombinatorzy” umieli się „urządzić”, umieli zdobyć sobie najlepsze gospodarstwa i inwentarz a nie rzadko umieli zapisać się do partii, aby w ten sposób wziąć biedaka na nowo „za mordę”. Kulak lał wszędzie. On był, jak pisał Henryk Worcel, autor „Rewolucji w Guranowie”, i przewodniczącym w Spółdzielni „Samopomocy Chłopskiej” i komendantem Ochotniczej Straży Pożarnej i prezesem Związku Uczestników Walki o Niepodległość i Demokrację. Kulak, wrog. Kulak, podpalacz. Kulak, bandyta. Walka nie jest prowadzona w rękawiczkach. Ta walka nie jest łatwa. Kulak ma brata „ustosunkowanego” w powiatowym miasteczku, ma kuzyna w województwie. Na wsi ma sprzymierzeńca w „zaczyn” proboszcza, w ciemności dewoteli, w zafocianiu analfabetów, w uporze starych. Wrogowie kulaka jest prasa, księżka, uświadomiony malarz. Kulak umie bić się o swoje, ma ostrze zęby i duże doświadczenie. Tam gdzie nie może wystąpić otwarcie działa podstępem. Jego brzoń to pszczyk, fałszywy donos, w ostrości strzał z węgla. Walka trwa. Henryk Worcel, pisarz-chłop, który przed wojną zachwycał się snobistycznymi bywalców elegancji restauracji swymi „Zakłętymi rewirami” oświadczył na wsi, na Ziemiach Odzyskanych, wziął osadę i sam gospodarzył. Wrośł w wieś, właściwie powrócił

do niej, ten chłopski syn z pod Tarnowa. Worcel ma mentalność chłopca, doświadczenie działacza i talent żywiołowy artysty. Powrócił na wieś, pomógł mu do odnalezienia siebie-człowieka i siebie-pisarza. Aby napisać „Rewolucję w Guranowie” potrzebował Worcel pięciu lat twardej pracy, walki z oporną ziemią i kutacem otoczeniem. Dziś pisarze wyjeżdżają na wies na trzy miesiące. To bardzo mało. Pisze Worcel, który zdobył pierwszą nagrodę, a właściwie należałoby napisać o wszystkich pracach. Drugą nagrodę przyznano Władysławowi Machekowi za raport „Sojalistyczna gospodarka P. G. R-u”. Machek dał epos o hodowcy świń. Sosnowski, stary formal, piastujący świwie w P. G. R. może służyć za wzór pozytywnego bohatera, którego tak długo, na próżno szuka nasza powojenna literatura.

Sosnowskich są setki, tysiące. Ludzie, którzy czują się gospodarzami w Ludowej Polsce. Znać ich i odkryć barzo łatwo. Wystarczy zdjąć czarne okulary wczorajszego ania. Wystarczy umieć chodzić po prawdziwej ziemi. Tę umiędostę, tak trudną dla burżuazji, posiedli Worcel, Machek i inni laureaci, których wychowanie, walka, praca, zespoliły z prawdziwym życiem.

Mamy prawo optymistycznie patrzeć z jutro polskiej literatury. Jeśli pisarze naprawdę zaangażują się w nowe życie, ono samo wskaze im temat i bohatera. Artysta da tylko pieśń.

Stanisław Wygodzki

Znam tylko ten materiał, który — zdaniem redakcji zastąpił na baczniejsze poznanie i wyznani, że materiał ten zastępował mnie, zachwycał. Po raz pierwszy zetknąłem się z materiałem opracowanym przez ludzi, znających dokładnie opisywany przedmiot, dokonanie przy ujawnianiu tej znajomości ukazało się klasowe oblicze piszących. Jedną z prac w sposób bardzo kunsztowny przemyciła ideologię wroga i wyznaje, że na skutek bardzo umiejętnej artystycznej obróbki, nie od razu uchwyciłem istotny sens zawarty w tej pracy ideologii. Potrzebna była dopiero, w czasie posiedzenia jury, dyskusja, która wyjaśniła mi gdzie tkwiło źródło zła. W innych pracach, między innymi, w tych nagrodzonych autorzy pokazali walkę klasową na wsi w całej jej ostrości i złożoności jak również w różnorodności jej przebiegu. Pod tym względem posiedzenie jury oraz dyskusja dały mi bardzo wiele, mianowicie to, że wszelkie uogólnienia muszą prowadzić do błędów, politycznych w pierwszym rzędzie. Na przykład rola kobiet ukazana została w sposób różny i dyskusja pozwoliła mi zrozumieć, że pouczające twierdzenie o tym, jakoby kobiety stanowiły element bardziej zafociany,

jest nieuczynne. Lektura nadesłanych prac ujawnia, że w różnych ośrodkach kobiety różnie reagują na zmiany dokonujące się w naszym kraju, w szczególności, zaś na wsi. To one właśnie, bardzo często stają na czele ruchu, który prowadzi na wsi do zmian, bowiem przebudowa ta w sposób widoczny i powiędzianym szybko zmienia potocznie kobiety gracujące.

Jako pisarza zainteresowały mnie problemy, które — zdawałoby się — z charakteru swego, nie mogą stanowić przedmiotu zainteresowania pisarza i w spotkaniu między rozczerawianiem. Nie ma takiego zagadnienia, które w starciu między starym a nowym nie wystratoby na miarę barzo istotnego i barzo ważnego problemu. Materiały konkursowe pokazały, gdzie się mieści konflikt, nowy a często i stary, ale nowy przez to, że dopiero w odmiennych warunkach politycznych i społecznych, konflikt ten został dostrzeżony i umiejscowiony na właściwej płaszczyźnie. Najcenniejsze — dla mnie — były w tych pracach te, które ukazywały ludzi występujących, jako świadomych twórców swojego socjalistycznego losu: ludzium tym nieustępliwie towarzyszy świadomość, że są gospodarzami kraju i współtwórcami nowego życia. Niektórzy autorzy wykazywali właściwe zrozumienie roli Partii w przebudowie wsi. O Partii mówili: „myśmy zawierzyć Partii”, albo „Partia wzięła nas w kupę” — oto dwie strony tego samego zagadnienia — biedota wierzy Partii, biedota czuje swą siłę, bo Partia jest jej Partią. Wiera w siłę Partii, w słuszność jej drogi wynika stąd, że ludzie wiążą ją w działaniu, w akcji a jeśli coś nie dopisze, wiedzą gdzie uderzyć i pytają: a czy Partia o tym wie? I słusznie: jeśli coś nie dopisze to tylko dlatego, że się nie czuło kierownictwa, czujności Partii.

W kilku pracach obraz walki klasowej jest przeźrliwie jasny, ukazano sprężyny mechanizmu społecznego, klasowego i walka ta się toczy o wszystko, nawet o rzeczy tak pozornie nikłe, jak kartofle dla świń: jest ktoś komu zależy, aby pokarm dla nierogacizny, był nieodpowiedni, ale jest również ktoś, kto chwyci szkodnika na gorącym uczynku i dopiero wtedy rozumie, że w toczącej się walce nie ma rzeczy mniej ważnych i więcej ważnych. Pod pozorem błażej sprawy wróg usiłuje dokonać wyłomu, po to, aby wyłom się stał szerszy, groźny.

Alle mam i pewne zarzuty pod adresem autorów: opisywane ośrodki, co gospodarstwa są zupełnie wyeliminowane spośród otaczają-

wego życia. Niektórzy autorzy wykazywali właściwe zrozumienie roli Partii w przebudowie wsi. O Partii mówili: „myśmy zawierzyć Partii”, albo „Partia wzięła nas w kupę” — oto dwie strony tego samego zagadnienia — biedota wierzy Partii, biedota czuje swą siłę, bo Partia jest jej Partią. Wiera w siłę Partii, w słuszność jej drogi wynika stąd, że ludzie wiążą ją w działaniu, w akcji a jeśli coś nie dopisze, wiedzą gdzie uderzyć i pytają: a czy Partia o tym wie? I słusznie: jeśli coś nie dopisze to tylko dlatego, że się nie czuło kierownictwa, czujności Partii.

W kilku pracach obraz walki klasowej jest przeźrliwie jasny, ukazano sprężyny mechanizmu społecznego, klasowego i walka ta się toczy o wszystko, nawet o rzeczy tak pozornie nikłe, jak kartofle dla świń: jest ktoś komu zależy, aby pokarm dla nierogacizny, był nieodpowiedni, ale jest również ktoś, kto chwyci szkodnika na gorącym uczynku i dopiero wtedy rozumie, że w toczącej się walce nie ma rzeczy mniej ważnych i więcej ważnych. Pod pozorem błażej sprawy wróg usiłuje dokonać wyłomu, po to, aby wyłom się stał szerszy, groźny.

Alle mam i pewne zarzuty pod adresem autorów: opisywane ośrodki, co gospodarstwa są zupełnie wyeliminowane spośród otaczają-

wego życia. Niektórzy autorzy wykazywali właściwe zrozumienie roli Partii w przebudowie wsi. O Partii mówili: „myśmy zawierzyć Partii”, albo „Partia wzięła nas w kupę” — oto dwie strony tego samego zagadnienia — biedota wierzy Partii, biedota czuje swą siłę, bo Partia jest jej Partią. Wiera w siłę Partii, w słuszność jej drogi wynika stąd, że ludzie wiążą ją w działaniu, w akcji a jeśli coś nie dopisze, wiedzą gdzie uderzyć i pytają: a czy Partia o tym wie? I słusznie: jeśli coś nie dopisze to tylko dlatego, że się nie czuło kierownictwa, czujności Partii.

Alle mam i pewne zarzuty pod adresem autorów: opisywane ośrodki, co gospodarstwa są zupełnie wyeliminowane spośród otaczają-

Wanda Markowska

Cenna inicjatywa redakcji czasopisma „Wies” — ogłoszenie konkursu na raport o wsi — przyniosła plon w postaci 278 prac nadesłanych na konkurs.

Jako członek jury miałam możliwość zapoznać się z 8 pracami wyróżnionymi przez samą redakcję.

Wszystkie te raporty mają wspólny amblyon cel: uchwycić „na gorąco” walkę klasową na wsi, pokazać nowego człowieka, budowniczego socjalizmu, zniegnać do sedna problematykę rolniczą, walczyć o lepsze życie, o rozwój wsi do socjalizmu, elementy chłwiec, średniaków walczących się jeszcze, ale już pociągających osiągnięcia ośrodków socjalistycznej gospodarki na wsi. „Socjalistyczna gospodarka PGR-u” np. to raporty mający z dużą dynamiką, a zarazem z prostotą niepozorną swego humoru gospodarce hodowlaną w Państwie. Majątku Rolnym, który staje się naprawdę ośrodkiem ideologicznego i technicznego promieniowania na okoliczną wieś. Aktywista i

tyd w literaturze. Wies polska staje przed nami, jako kipiący życiem i walką teren ścierania się dwu sił: postępu z zacofaniem, wysiłku ze spraczkliwością społeczną, nowego ze starym. I zwycięską perspektywę tej walki umieli ukazać nam raportyści w drobnych naporach, ale walczyli w istocie losach ludzi rewolucyjnych starych układ społeczny.

W obronie nowej wsi polskiej widzieliśmy rewolucyjny aktyw chłopski, członków partii, którzy ciągną za sobą wieś, widzieliśmy i bezpartijnych, którzy „zawierzyli się partii” (jak pisał jeden z autorów raportu) i przy jej pomocy budują nowe życie, widzieliśmy obok kulaków starających się wszelkimi sposobami hamować rozwój wsi do socjalizmu, elementy chłwiec, średniaków walczących się jeszcze, ale już pociągających osiągnięcia ośrodków socjalistycznej gospodarki na wsi. „Socjalistyczna gospodarka PGR-u” np. to raporty mający z dużą dynamiką, a zarazem z prostotą niepozorną swego humoru gospodarce hodowlaną w Państwie. Majątku Rolnym, który staje się naprawdę ośrodkiem ideologicznego i technicznego promieniowania na okoliczną wieś. Aktywista i

fachowiec PGR-u nie zasklepia się tylko w ramach obowiązku wykonanych w majątku — ale służy swą radą i doświadczeniem mało i średnio-rolnym chłopom w sąsiedztwie.

Zaświadcza o tym tych raportach uwydatniono rolę POM-ów, tych rewolucyjnych ośrodków na wsi, będących konkretną formą i przejawem realnej pomocy klasy robotniczej dla wsi. Nie widziałam też w obramie wsi polskiej przedstawionym w tych raportach takich form sojuszu robotniczo-chłopskiego jak akcja łączności fabryk ze wsią po linii kult.-oświatowej, (co znalazło wyraz w pozostałych raportach).

Oceniając materiał nadesłany na konkurs trzeba podkreślić jedną charakterystyczną cechę: są to dokumenty z dni walki o wieś, toczącej się dziś w naszym kraju, pisane przez beznamiętnych stojących w obcym obserwatorów, notujących tylko na zimno fakty i zjawiska, ale przez ludzi jasno określających swój stosunek do spraw i rzeczy dziejących się na wsi. Czuje się, że autorzy niejednokrotnie biorą czynny udział w tej walce, że są związani z terenem. Ten moment bojowości, partyjności (w sensie wyraźnego manifestowania swego stanowiska wobec nowo rzeczywistości) stanowi o wartości materiału konkursowego.

Jeszcze może nie zanose zwycięsko wychodzi autorzy z walki o wysoki poziom formalny swych utworów, jeszcze dużo tkwi w ich pracach uproszczeń i chropowatości, jeszcze znaczący lękanie się z formą i kompozycją, ale odważnie, pioniersko usiłują uchwycić i zamknąć w swych raportach ten ogrom nowych postępowych treści, pod których naporem pękają pozostające stare, zanieudziwione formy życia chłopskiego, ale z pasją starając się otworzyć rzuć rytm przemian przeorywujących naszą wieś. I ten rytm czuje się w raportach. A to już wiele.

I kto wie, może właśnie na tej drodze trudnych, ale twórczych poszukiwań przez ściśle powiązanie się z masą, z terenem, może właśnie w dobrym, wspólnym raporcie zdoła najbardziej przełamać naszą literaturę ów stary toniżak, oddalony od zjawisk naszej rzeczywistości, jakie niezaprzeczalnie ją trawi.

Inicjatywa „Wsi” wzięła się z długofalową akcją wsczęglą przez Zw. Literatów Polskich i Mm. Kultury i Sztuki, zmierzającą do ściślejszego powiązania naszej literatury z życiem, jakim tętni nasz kraj. W tej wielkiej batalii o nową literaturę raporty nadesłane na konkurs „Wies” stanowią mogący pozytywny wkład.

Piotr Greniuk

Rozwijające się coraz bardziej zainteresowanie literatury przejawami życia robotniczego, czy chłopca, poszukujące w ich twórczej pracy nowej tematyki pisarskiej jest w Polsce Ludowej wydarzeniem dużej wagi. Traktory orzące pola spółdzielni produkcyjnej, pierwszy siew zespolowy w gromadzie wiejskiej, pierwsze żniwo gromadnie przeprowadzone, plany gospodarcze w rolnictwie, narady produkcyjne, walka o wyższe plony z hektara, o racjonalną hodowlę, o postęp i mechanizację rolnictwa, rekordowe plony zbóż i osiągnięcia hodowli w P.G.R., przedwiośnie pracy w rolnictwie, traktorystyki i brygadziści, socjalistyczne współzawodnictwo pracy, spółdzielnie, świetlice i biblioteki na wsi, zespoli artystycznej i ich osiągnięcia, walka z kapitałizmem i wysiłkiem na wsi, rekordy sportowych zespolów ludowych i ty-

le tyle innych pięknych i żywych

JULIAN B. MARCHLEWSKI

FIZJOKRATYZM W DAWNEJ POLSCE

Teorię fizjokratów można zrozumieć jedynie w związku z ogólnym prądem myśli wieku XVIII. Racjonalistyczna filozofia „prawo natury” — są to źródła myśli fizjokratycznej. Sprowadzić objawy ekonomicznego życia do „ogólnych, wiecznych praw natury”, wyłączyć wszystko, co ludzie wnieśli „nieracjonalnego” do stosunków ekonomicznych, wykryć „podyktowane przez naturę” prawa, mające regulować stosunki pomiędzy ludźmi — oto zadanie poetne, które nastrojało się ekonomistów francuskich. Dla umysłów, zajętych takimi poszukiwaniami, musiało powstać przede wszystkim jedno pytanie: skąd biorą się bogactwa, skąd powstają nowe wartości? Odpowiedź zaś na pytanie nie mogła być wątpliwa: ludzie, przejęci uwielbieniem natury, którą zaczęto postrzegać na nowo, ludzie, którzy patrzyli na gospodarstwo społeczne Francji ówczesnej, Francji rolniczej, Francji o gospodarstwie w gruncie rzeczy naturalistycznym, odpowiedzieli bez wahania: źródłem bogactwa, źródłem wszelkiej wartości jest przyroda. Pytanie było genialne, odpowiedź była godna XVIII wieku, tego wieku, który na wszystko miał zawsze odpowiedź trafne, jasne, kategoryczne — mniejsza o to, czy wyzerpujące. Zaznaczamy więc, iż samo postawienie kwestii jest zasługą fizjokratów. Adam Smith¹⁾ nie doszedł do takiego pytania, a tym mniej mógł na nie odpowiedzieć. Jego twierdzenie o pracy, jako źródle wartości, jest więcej precyzyjnym instynktownym, które nasuwała obserwacja życia ekonomicznego Anglii, kraju wówczas już na wskroś przemysłowego. Jednak Smith nie przetrawił własnego pomysłu: twierdzenie o pracy, jako źródle i zarazem mierniku wartości, nie zostało wcielone organicznie w teorię ekonomiczną w całej rozciągłości, lecz stało się raz obok teorii, idąc sobie luzem. Dlatego właśnie system Smith'a jest tak niewykonywany, tak niekonsekwentny; autor ciągle traci wątek i widzi się we własnych twierdzeniach. Dopiero wielki uczeń Smith'a, Ricardo²⁾, podjął twierdzenie mistrza i z żelazną logiką, nie cofając się przed żadnym następstwem, na zasadzie tego twierdzenia utworzył teorię. Pożniejsza, tzw. „wulgarna ekonomiczna”, ulekała się tych konsekwencji i poradziła sobie w ten sposób, że na pytanie fizjokratów: skąd powstaje wartość? na pytanie zasadnicze całej ekonomiki — nie odpowiadała wcale.

Z odpowiedzi, jaką znaleźli byli fizjokraci, wynikała dla nich cała szereg następstw. Przede wszystkim: skoro natura jest źródłem bogactwa, tam jedynie jest produkcja, gdzie człowiek bezpośrednio styka się z naturą, gdzie ze szczytów jej ręki odbiera „dary”. Rolnik, górnik, rybak: oto ludzie, odbierający te dary, ludzie produkcyjni. Dieu seul est producteur, powiada Dupont³⁾. Ludzie, zdaniem jego, pracują, zbierają, gromadzą, ale „gospodarzyć nie znaczy jeszcze produkować”. Dlatego ludzie, nie będący w ścisłym związku z naturą, rękodzielnicy, kupcy itd., mogą, przekształcając te dary, przenosząc je z miejsca na miejsce itp., oddawać wielkie, bardzo wielkie usługi społeczeństwu — kładziemy na to nacisk: fizjokraci nigdy nie przeczyli użyteczności i doniosłości tych usług — ale nowej wartości nie są w stanie dostarczyć, bogactwa nie są w stanie przysporzyć. Pracując, muszą niewyczerpać surowe i środki żywności, i tyle oddają, ile wzięli, dlatego są klasą nieprodukcyjną, „jałową”. Natomiast istnieje jeszcze trzecia klasa ludzi, która nie pracuje, przyczynia jednakże bogactw przez to, że dostarcza klasie pierwszej środków do produkowania, na coraz szerszą skalę; są to właściciele ziemni czyniący „nakłady” w gospodarstwie rolnym, dzięki którym jest ono wydajniejsze. W związku z tym jest pojęcie fizjokratów o kapitale. Kapitałem dla nich są tylko środki produkcji w rolnictwie, nie zaś w przemyśle, bo tylko w pierwszym przez użycie kapitału powstaje zysk, produit

net, dla społeczeństwa. Kapitał w rękach rękodzielnika przynosi wprawdzie zysk posiadaczowi i musi przynosić, inaczej bowiem nikt nie zechciałby podjąć się pracy, ale dla społeczeństwa jest to kapitał martwy; ono przez użycie tego kapitału nie wzbogaca się.

Jakieś wynikiły wskazówki praktyczne z teorii fizjokratów? Po pierwsze: skoro jedynie stan rolniczy wytwarza dochód czysty, z którego żyją zarówno właściciele ziemni, jak klasa rękodzielnicza, i z którego jedynie może się bogacić państwo, należy w interesie całego społeczeństwa zaniechać polityki, która popierała dotąd przemysł kosztem rolnictwa. Po drugie: skoro prawa rządzące społeczeństwem w jego życiu ekonomicznym, są prawami natury, nie należy narzucać temu życiu krepujących więzów, należy pozostawić swobodę. A więc opozycja przeciw systemowi Colberta⁴⁾ Opozycja ta znalazła oddźwięk, gdyż cały system reglamentacji, tak pożyteczny dla państwa i burżuazji wówczas kiedy przemysł francuski stawiał pierwsze kroki, stał się niezdolny dla tej ostatniej, w chwili kiedy przemysł poczęł wyrastać z powijaków, jakimi go skrupowano. Toteż do dnia powstania historycy ekonomiczni widzą w fizjokratach tylko obrońców wolnego handlu, autorów zasady „laissez faire, laissez passer” i wobec tej tak mało naukowej kwestii zapomnieli o nich, jako o teoretykach.

Fizjokraci, według nas, nie mogli stawiać wyraźnie po stronie ludu. Dla nich rzeczą główną było powiększenie „bogactwa narodowego”, podwyższenie „dochodu czystego”. Byli oni bezwiednie pierwszymi rzecznikami kapitalizmu i dlatego ideałem ich jest wielka uprawa, a w takim razie los rolnika obchodzi ich o tyle, o ile rolnik ten jest dzierżawcą, tj. przedsiębiorcą kapitalistycznym; o ile zaś rolnik jest chłopem, widzieli w nim najchętniej bezrolnego proletariusza. Sądziли wprawdzie przy tym, że los jego wówczas będzie nie gorszy, lecz lepszy; ilekroć jednak interesy dzierżawcy — przedsiębiorcy i najmity wchodziły w kolizję, stawali z konieczności po stronie pierwszego. Quesnay⁵⁾ np. nie „waha się twierdzić, że należy sprowadzić do zniszczenia Sabaudczyków, nawet gdyby na tym traciła ludność rolnicza miejscowa, którą się pozbawia zarobków, gdyż naczelną zasadą, jaką kierować się musi producent rolniczy, jest wydobycie największego „dochodu czystego”. Le Trosne⁶⁾ z największym spokojem powiada: nie zapatrzyć się inaczej na „nieuolników murzynów, jak na zwierzęta, służące ku uprawie roli... A więc kolonia, które używają tych zwierząt, muszą mieć możność nabywania ich jak najtaniej. Analogicznie też żąda, aby robotnik rolny we Francji był tani. Mercier de la Riviere⁷⁾ domaga się, aby dochody właścicieli ziemskich były jak największe, aby położenie ich pozwalało im mówić na równym z innymi stanami; położenie robotnika zdaje się być mu bardzo obojętne. Mniej wyraźnym może się wydać stanowisko Turgota⁸⁾, gdyż należy on do owych arystokratów w najlepszym słowa tego znaczeniu, którzy w ludzie widzieli siłę narodu i chcieli nim się opiekować. Świadczy o tym jego instrukcje o biurach dobroczynności, listy o zniesieniu pańszczyzny itd. Jest on tu mężem stanu, który nie chce wydać ludu na łup wyzyskowi, jest wreszcie filantropem o ludzkich uczuciach. Jednakże nawet dla niego decydującym pozostaje zawsze wzgląd na produkcję, nie na robotnika. Przypisywanie tedy fizjokratom szczególniejszej sympatii dla ludu robotczego jest nieczym nieuzasadnione. Toteż lud ten odczuł instynktownie, czego ma się spodziewać po tych rzecznikach „dochodu czystego”, i kiedy nastrożyła się dla chłopów francuskiego możność wypowiedzenia swych skarg i życzeń w cahiers de doléances, podawa-

nych stanom generalnym, zaznaczyli oni swoją niechęć ku wielkiej uprawie, której tak bronili fizjokraci, a niekiedy bezpośrednio wypowiadali się przeciw fizjokratom. Jest to aż nadto zrozumiałe, bo deklaracje o wolności osobistej i koryści przeciw usunąć obaw chłopów przed klęską, jaka mu groziła wyrugowanie z zajmowanej schody. Czuli oni, że owa „wolność” grozi sproletaryzowaniem, grozi „uwolnieniem” od środków zdobycia sobie chleba, że „nigdy wyraz nie był dalszym treści” jak w owym wyrażeniu „wolny najemita”. Niemniej wszakże fizjokraci na zasadzie swego systemu musieli być wrogami uprawy pańszczyznianej i, o ile napotykali jej ślady we Francji, potępiali ją. Dzieła więc ich mogły i musiały stać się bronią w ręku tych, którzy zwalczyli niewolę chłopów i stali się nią szczególnie w Polsce.

Można śmiało powiedzieć, że fizjokratyzm był w Polsce rzeczywistą teorią, stojącą w obronie klas uciśnionej (czego, jak zaznaczyliśmy na wstępie, powiedzieć nie można o nim we Francji). Zasadą polskich fizjokratów jest, że zastanawiali teorię o „produit net” do chłopów pańszczyźnianego, że naukę o wolności indywidualnej wykorzystali tak stanowczo na korzyść emancypacji tego chłopstwa. Jako ideologowie, szlachetni ci pisarze podchwycili to z nauki swych mistrzów, co było w niej najpiękniejszego z punktu widzenia postępu społecznego. Lecz rezultat był żaden: prawie! zmusić klasę panującą do reformy społecznej, wbrew interesom większości tej klasy⁹⁾, tego teoria żadna i nigdy nie dopięła. Francuscy myśliciele na wójt bezwiednie stają po stronie wybijającej się na wierzch burżuazji, i ta zwycięża; ich uczniowie polscy z całą świadomością są po stronie uciśnionych chłopów i ci nie zyskują nie prawie. Taką jest potęga i taka bezsilność idei.

Kapitalistyczny rozwój i niewola — te dwie rzeczy wyłączają się wzajemnie. Oto dlaczego w Polsce nie mogło być mowy o przemysle. Pewne dziełce polskie wskazywały na to prawdę już w XVIII-wym wieku. Coxe¹⁰⁾ opowiada nam w swojej „Podroży po Polsce”, o wizycie, jaką złożył manufakturom królewskim pod Grodnem, gdzie według jego relacji pracowało 3000 chłopów w pańszczyźnianych pod dozorem 70 cudzoziemców, i przy tej sposobności kreśli następujący

*) Mówimy o większości, naszym bowiem zdaniem reforma była koniecznością ekonomiczną dla wielkiej i średniej własności, stawała się zaborczą dla mniejszości. Ponieważ zaś przedstawiciele tej ostatniej mieli większość, reforma nie doszła do skutku (przypisek autora).

*) Coxe William (1746-1828) — duchowny angikański, podróżnik i historyk. Autor „Travels in to Poland, Russia, Sweden and Denmark” (1784).

STANISŁAW PŁOSKI

PRACA NAUKOWA MARCHLEWSKIEGO

W r. 1889 Julian Marchlewski wrócił do kraju po 2-letnim pobycie za granicą, dokąd udał się zagrożony aresztowaniem w związku ze swoją działalnością w tzw. II Proletariacie.

W tym okresie wśród kółek młodej socjalistycznej wystąpił kierunek przeciwny taktyce terrorystycznej II Proletariatu. Z kółek tych utworzył się Związek Robotników Polskich, jednym z założycieli którego był Marchlewski wraz ze słusznym Janem Lederem, metalowcem. Stanowiskiem Kulickim, literatem Adolfem Warszawskim (Warskim), studentem Stanisławem Grabskim, włókniarzem Henrykiem Wilkoszewskim i in.

Związek Robotników Polskich „początkowo starał się organizować tylko walki ekonomiczne, kasy oporu, związki fachowe i biblioteki robotnicze, rozwijając dużą inicjatywę organizacyjną i rozszerzając szybko swoją działalność na wszystkie ośrodki przemysłowe kraju”¹⁾.

Objawczy stanowisko majstra farbiarskiego w fabryce Biedermana w Łodzi Marchlewski ukrótko po przybyciu tam nawiązał kontakt z nienależącą wówczas do żadnej partii grupą, na czele której stali Antoni Szuman technik w fabryce metalowej Stephanausa oraz kolejarze Wacław Dąbrowski, Ludwik Krasulski, Feliks Siemiątkowski i Artur Gliszczynski.

*) Bolesław Bierut — „Podstawy ideologiczne PZPR” — „Fefarat wygłoszony 15.XII.1948 r. na Kongresie Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej.

obrazek rodzajowy: „Jedno z dziewcząt, cokolwiek sprytniejsze, odpowiedziało dozorczy, który zachećał je do większej pilności: Jakżeż mieć będę korzyść, słuchając waszych rad? gdybym była najbieglejszą w robocie, to przecież zawsze pozostałbym poddanką, ja będę miała pracę, a mój pan pożytek”. Anglik dodaje: „na to rzeczywiście trudna była odpowiedź”. Bo też i nie trzeba odpowiedzi. Dziewczyna rozwiązała głęboką kwestię ekonomiczną — społeczna: w Polsce przemysł nie mógł istnieć, dopóki lud polski „miał tylko pracę, a pan pożytek”. Rozumieli to ludzie obeznani z kwestiami ekonomicznymi już wówczas i dlatego żądali przede wszystkim zasadniczej reformy — zniesienia państwa. Chcieli stworzyć w Horodnicy polski Lyon z robotnikami, zapędzanymi na pańszczyznę do fabryk bogatym ekonomicznym, na takie pomysły mogli wpadnąć tylko dyletanci, jak król jęgości lub Tyzenhauz¹¹⁾.

Chcąc więc dojść do ogólnego sądu o roli historycznej, jaką odegrał fizjokratyzm, należy przede wszystkim pamiętać, że teorie w naukach społecznych, a szczególnie w ekonomii teoretycznej, „algebraicznej” jak chce Korzon¹²⁾, powstają i przyjmują się w danym społeczeństwie zawsze zgodnie ze stosunkami społecznymi, które panują, że teorie są tylko odzwierciedleniem tych stosunków w głowach myślicieli. Tak też ma się rzecz z fizjokratami polskimi. Nie mogli oni wymyślić innych systemów podatkowych jak te, na które pozwalał stan ekonomiczny kraju, pograżonego w gospodarcze naturalistycznej; nie mogli zalecać systemu epoki merkantylistycznej dla przemysłu i handlu, bo nie było warunków bytu dla takiego systemu; nie mogli stworzyć ani zalecać systemu kredytowego wobec pierwotnych stosunków wymiany. Natomiast musieli, zgodnie z całym poglądem filozoficznym swego czasu i zgodnym ze stanem ekonomicznym — społecznym kraju, poddać się urokowi nowej nauki ekonomicznej. Myśleć nie — fizjokratycznie było sztuką naówczas w Anglii, niepodobniestwem w Polsce. Przy pomocy tego aparatu naukowego jednego, który wtedy nadawał się do badania, trzeba było wykryć źródła niedomagania gospodarstwa społecznego; to „właśnie” uczynili fizjokraci, upatrując przyczyn upadku rolnictwa, jedynej podstawy ekonomicznej Polski, w niewoli chłopów. Więcej wymagać od teoretyków nie mamy prawa.

Julian Marchlewski.

*) Antoni Tyzenhauz (1733-1785) — podskarbi nadworny litewski, założyciel na przedmieściach Grodna — Horodnicy i Łosoninie 2 osady fabryczne, w których znajdowało się przeszło 20 manufaktur, wyrabiających sukno, płótno, pończochy, kapelusze, koronki, jedwab i in.

*) Tadeusz Korzon (1839-1918) — historyk polski, autor m. in. „Wewnętrznych dziejów Polski za Stanisława Augusta 1764-1794” (6 tomów, I wyd. 1882-88, II wyd. 1897-99), w których dość obszernie omawia zagadnienie fizjokratyzmu w Polsce.

*) Marchlewski — pisał Szuman — „nadał rozbieżnym zdaniom i zapatrywaniom jeden cel i jeden kierunek, stworzył organizację, której nam brakowało”.

Na czele łódzkiej organizacji Związku Robotników Polskich stanął Marchlewski, mając do pomocy Jana Ledera, kotlarza Kizinińskiego oraz Szumana z towarzyszącymi.

„Każdy z nas — pisał Szuman — otrzymał swój dział agitacji i wykładowy w rejonie, w którym organizował i kształcił robotników. Roboty rozpoczęła się na dobre”.

Ożywiona działalność Związku Robotników Polskich wzbudziła czujność żandarmerii. W październiku i listopadzie 1891 r. nastąpiły liczne aresztowania członków Związku w Warszawie, Żyrardowie i Łodzi. W Łodzi aresztowania objęły około 80 osób, w tej liczbie Marchlewskiego. Aresztowany 29 października został ukrótko przewieziony do Warszawy. Wziętym w X pawilonie Cytadeli Warszawskiej, wyszedł stamtąd za kaucją 400 rubli, a w kwietniu 1893 r. wystąpił został jako obywatel niemiecki do Niemiec.

Stamtąd udał się ukrótko do Szwajcarii do Zurychu, gdzie wstąpił na wydział tzw. nauk państwo-

*) Antoni Szuman — Waclaw Dąbrowski — „W Łodzi 1883-1893 r.” — Poznań, 1935.

Arnold Stucki

Ojcu Pułkownika

Chłopie w brązowym kapeluszu bez wstęgi, dozorco stepów z nosem różowym, potomku burlaków pędzonych za Wolę, ojcie pułkownika, któryś mi barszechem zagroził pochód — widzę cię sosnę pilujesz ogromną, kolanem wdeptując żółty śnieg trocin w ziemię strąconą przez czołgi. Nad Wisłą rośnie pomnik twego syna z powietrza, wody, nadziei i światła, nad pomnikiem twego syna stoje, w mroźnym styczniu mego kraju uwięziony jak w strofie Nickrasowa.

1946

Wiersz o miłości, kwiatach i polityce

Kocha lubi szanuje
Liście akacji nieświadome odrzucam animizm
choć Kocham ciebie
ożywiający trawy jak ptaki
o światło ufrizowanej głowy
dorastająca siostra słończników

Siostra słończników
ptaków i akacji
za tobą rozciągnę pole
popiołu mego brata na kapuscie włoskiej
egzotyko przemysłu śmierci
świt jak sztandar otulił
mego brata
On jest brzozi ziemi
On jest ceną życia

Idę na wiec
wykrzyknę moją miłość
Bo jest związek
między moją miłością
słończnikiem
i ptakiem
a dziobami okrętów
żłozrogich
Bo wystarczą dwa inicjały
I. G.
ażebym poczuł swąd
nowych pogorzeliś
ażby gazeta była czarna
i litery zbijały
Kiedy za moim najulubieńszym poetą
Pablo Nerudą
wzięciem przyrody i ludzi
zatrzaśnięto drzwi ciężkie z żelaza.

1948

Pieśń o żelazie

Żelazo śpiewam — gwiazdę utrudzonych
Żelazo z którego zrobione są młoty
Żelazo z którego zbudowano mosty
Żelazo tak lotne, że służy za skrzydła
Żelazo którym spojono kołyskę
Żelazo które łączy powietrze i ziemię
Ramię podane miastom i rzekom
Żelazo z którego kształtują posagi
Żelazo które chroni drzewa w parkach
Żelazo z którego ukuto bron
Dla walecznych sprawiادیwych
Czołgi które wywołyły moje miasto
Żelazo gmachom nadające trwałość
Żelazo hartowane przez ludzkie ręce
Które obejmowały dziecko i żonę
Ludzie prości odbiercie żelazo
Tym co najeżdżają miasta i wyspy
Tym co paradyją po przedmieściach Paryża
Tym co demolują lokale redakcji
Tym co zabijają greckie kobiety
Odbiercie żelazo ludziom bez twarzy
Ludziom którzy nigdy nie hartowali żelaza.

1950

JAN KRYZA

WIELKIE KADRY SPECJALISTÓW

(Na marginesie trzech ustaw*)

Plan 6-letni stawia przed wyższymi uczelniami zadanie przygotowania około 130 tysięcy specjalistów z wyższym wykształceniem.

Potrzebne nam są zatem olbrzymie ilościowo siły kierownicze: inżyniersko-techniczne i humanistyczne, ale przeciwieństwo siły, które zdolne są zrozumieć politykę klasy robotniczej naszego kraju, zdolne są przyswoić sobie tę politykę i gotowe są zrealizować ją sumiennie i entuzjastycznie.

Na ile rozroczli się już siły ludowe do dzierżenia władzy w tej jej postaci, jaka się wyraża w kierownictwie i organizacji produkcji, jaka się wyraża w wytwarzaniu treści kultury i kultury i ich wychowawczym upowszechnianiu?

Dla porównania warto cofnąć się myślą do lat przedwojennych.

Gimnazja wówczas kończyło młodzieży chłopskiej 0,5 proc.; młodzieży robotniczej 0,6 proc.; młodzieży drobniemierzejskiej 10 proc.; dzieci pracowników umysłowych 20 proc.; zamężnego mieszczaństwa i ziemiaństwa 50 proc.

W roku 1937/38 ogólna ilość studentów na wyższych uczelniach wynosiła 48 tysięcy. Młodzieży robotniczej i chłopskiej było razem 4 proc.

Oto trzy punkty, od których zaczyna się historia tworzenia nowej, ludowej inteligencji w Polsce Ludowej:

1) Wskaźnik baz wyższych uczelni (48 tysięcy) — baza podstawowa szerokiego podbudowania szkół zawodowych i przemysłowych.

2) 4 proc. młodzieży chłopsko-robotniczej.

3) Młodzież przewaga młodego pokolenia burżuazji i inteligencji związanej z nią swą najemną funkcją i wdrożoną do myślenia i działania utrwalającego klasowe rozwarstwienie narodu.

Po pięciu latach w Polsce Ludowej — po pierwsze: baza wyższych uczelni została rozszerzona. Studentów jest 115 tysięcy. To znaczy: 2 i pół raza więcej niż przed wojną. Wyższe uczelnie zostały podbudowane szkołami i kursami zawodowo-przemysłowymi, które obejmują kilkadziesiąt tysięcy młodzieży.

Po drugie: młodzieży robotniczo-chłopskiej na wyższych uczelniach jest już 58 proc. t. zn. jest jej więcej od 2 dziesiątki tysięcy niż wynosiła ogólna liczba wszystkich studentów razem wziętych przed wojną. W tej bezwzględnej liczbie tkwi klasowa wymowa przemian. Tkwi klasowa siła władzy Polski Ludowej.

Po trzecie: burżuazji ziemlańskiej i przemysłowej już nie ma. Młodzieży tego pochodzenia jest znikomy procent. W konkurencji znajduje się jeszcze młodzież niższego pietra kapitalizmu: drobniemierzejska, bogacko-chłopska i wolnych zawodów. Pokażą na cześć w tych poza chłopsko-robotniczych 40 proc. zajmuje młodzież ze środowiska inteligencji pracującej, co w nowych warunkach oddziaływania ustrojowego nabiera znaczenia pozytywnego.

W obecnej przewadze na wyższych uczelniach elementu robotniczo-chłopskiego, — zawiera się podstawowa szansa spełnienia jednego z najważniejszych warunków budowy socjalizmu — przygotowania wysoko kwalifikowanych kadr specjalistów.

Młodzież, która kończy w tym roku studia, kończyła licea lub zaczynała studia w latach przełomowych zwycięstw politycznych demokratycznego obozu, utrwalających drogę do socjalizmu, utrwalających sojusz robotniczo-chłopski. Przełom w dojrzałość życiową zbliżył się u niej z przełomem politycznym w życiu narodu. Zjednoczenie młodzieży, wielki wysiłek Z.M.P. i Z.A.M.P. wpłynęły w nową rzeczywistość, uobojowił. Wysiłek całego narodu włożony w wykonanie planu trzyletniego, współzawodnictwo pracy, racjonalizatorstwo, zjednoczenie ruchu robotniczego, stronnictwo ludowych, wielokierunkowe spójności produkcyjnej na wsi, to były wielkie kamienie myślowe, które skierowały w tej młodzieży niejasność przyszłości, drogi życiowej i poczucie niższości, skierowały urok burżuazyjnie myślących kolegów, wpływy klas postronnych.

Wielkość planu 6-cio letniego porwie ją w prace i zadania, które z wielkością wyrzeźbiła działalność specjalistów, budowniczych fundamentów socjalizmu. Młodzież, która teraz wstępuje na wyższe uczelnie wielkie przemiany w życiu Polski Ludowej przeżyła już w latach gimnazjalnych, żyje ich treścią jako własną, pierwszoplanową. 40 tysięcy ZAMP otrzymuje w niej najszlachetniejsze tworzywo.

Na ile przypominanych tu przemian nowa ustawa o państwowych stypendiach nabiera szczególnie wyraznej i ważnej wymowy.

Kiedy przed wojną stypendia objęły tylko 4600 studentów, w tym roku obejmują 36 tysięcy, w przyszłym roku 47 tysięcy, t. zn. tylu studentów, ilu ich w ogóle było na wszystkich uczelniach przed wojną.

Suma wyasygnowana przez Państwo w r. b. wyraża się cyfrą 3.700.000.000 z. zn. 17 razy większą od budżetu stypendialnego rządów kapitalistyczno-sancjonalnych.

Scentralizowanie funduszy stypendialnych w dyspozycji i rozdziale państwa i jego plan stypendialny oznaczają zacieśnienie związku najbardziej bezpośredniego i najbardziej powszechnego pomiędzy rządem robotniczo-chłopskim, a masami pracującymi narodu, jako tym rzeczywistym podmiotem, który oddkłada ze swej pracy fundusz stypendialny i, dla którego jedynym powiernikiem, do którego może mieć bezwzględne zaufanie klasowe jest rząd, jest władza robotniczo-chłopska, przedstawicielstwo mas pracujących z niezłomną awangardą klasy robotniczej, partia, na czele.

Projekt określa zatem stosunek pomiędzy rzeczywistym fundatorem stypendiów a stypendystami. To robotnicy i pracujące chłopstwo wspoma-

gają młodzież robotniczą i chłopską w osiągnięciu przez nią najwyższych umiejętności zawodowych i naukowych. To oni nie szczędzą swego trudu i swego grosza na spełnienie marzenia ludowego: utrwalenia władzy ludu i podniesienia i upowszechnienia oświaty. I tylko ich trudem, ich wyrzeczeniem to marzenie spełnić się może i spełnia. Nadanie jest wyrazne. To masy pracujące wydzwigają spośród siebie stypendiami młodzież robotniczą i chłopską, aby powróciła w ich walczące i przebudowujące Polskę szeregi i siłą wiedzy wzmogła i przyspieszyła budowę socjalizmu, t. zn. powszechnego dobrobytu, sprawiedliwości i bezklasowej, najwyższej wolności narodu.

Projekt ustawy o państwowych stypendiach tym właśnie nadaniem zobowiązuje stypendystów. Wieloletnia masa stypendystów ma się stać awangardą, która wyrasta ze swej klasy — robotniczej i chłopskiej drobno i średnioludnej i o tyle ma prawo czerpać z państwowych stypendiów — t. zn. z robotniczego i chłopskiego poświęcenia o ile wszystkie siły — teraz w nauce — a jutro na posterunku pracy odda swojej klasie i narodowi. I dlatego tak jak pod postacią państwowych stypendiów klasa robotnicza i chłopstwo biedne przyciąga naszych studentów do swych szeregów, na front walki, jaką toczą ofiarnie, tak obowiązkiem stypendystów, obowiązkiem młodzieży studiującej jest stopniem i rolą specjalisty przyciągać i podnosić do wszystkiego co jest najdonioślejsze i najlepsze w masach pracujących.

Młodzież chłopską szeroką falą dopływającą na wyższe uczelnie ma tam dziś w postaci wielkiego ognia młodzieży robotniczej i państwowych stypendiów, warunki na to aby najśmielej i najdalej wypełnić treść sojuszu chłopsko-robotniczego, tj. zrozumieć politykę klasy robotniczej, przyswoić sobie tę politykę i zrealizować ją sumiennie i entuzjastycznie.

Warto zdać sobie sprawę z tego, że w r. b. kształci się dzieci i młodzieży w szkołach wszystkich typów 5 milionów 400 tysięcy. Stanowi to jedną piątą całej ludności kraju. Do redakcji pism masowych, jak „Gromada” czy „Chłopska Droga” w tysiącach listów chłopskich jedno z pierwszych miejsc w epistole zajmuje szkoła i kształcenie młodzieży. Nie ma gniazła, nie ma prawie wsi, gdzie by nie odczuło przełomu w dziele oświaty. O tym pisał sami chłopcy. Do każdej prawie wsi sięga to olbrzymie unerwienie werunków, które zdziałają, że w każdej gromadzie z napięciem śledzi się proces narastania w planie 6-letnim kadr fachowców: owych 150 tysięcy absolwentów szkół wyższych, owych 300 tysięcy absolwentów szkół zawodowych i stopnia, owych 800 tysięcy absolwentów szkół zawodowych II-go stopnia, owych milion 200 tysięcy absolwentów szkół kształcących

na poziomie rzemieślniczym. W tej perspektywie sprawa kadr różnych w zakresach i na różnych poziomach przestaje być tylko zagadnieniem rzędu jest również najoczywistszą sprawą mas ludowych, sprawą na każdej wsi namacalnie uchwytą, nad którą się czuwa troskliwie. Chłopskie listy dokumentnie przedstawiają lata studiów, stopnie i ocenę młodzieży, która z ich wsi poszła się kształcić.

Przemiany jakie dokonywały się na wsi, walka klasowa, wzmocniona działalność ZSCh, rozwój spółdzielni produkcyjnych, rosnący wpływ PGR-ów i POM-ów wymagają na wsi potrzebę fachowych kadr różnych specjalności, uprzytamniają wagę nauki nie tylko dla rozwoju produkcji rolnej i bezpośrednich potrzeb życia wiejskiego, ale również i przede wszystkim znaczenie w hierarchii, rozwoju życia gospodarczego Polski kluczowych specjalności przemysłowych. Kontrola gromad nad swoją młodzieżą, kształcąca się w szkołach zawodowych i na wyższych uczelniach, nie jest naiwna. Nie o to idzie swojakom aby ich chłopcy wrócili na rodzinną wieś, ale żeby się „wyspecjalizowali” a nie zmarnowali. Aby w rezultacie inni, którzy tu przybędą dawali również gwarancję rzetelnej umiejętności i ofiarnego poświęcenia. Od celu, z prowincjonalnych zakątków płynnie zgodnie jedno zadanie: skoro zabiegamy o kształcenie naszych dzieci, to zabiegamy o to, aby Polska Ludowa miała jak najwięcej sił fachowych, dlatego oczekujemy, że do nas i do innych miejsc w kraju, tam gdzie tego wymaga potrzeba i w terminach w jakich wymaga pilnie — przybędą dzieci nasze, wyszkolone i przejęte odpowiedzialnością wobec mas pracujących. Przybędą tam, gdzie im wskaże pracę Plan 6-letni, tzn. rząd i nasze Rady terenowe. W okresie Planu 3-letniego przeobrażało się w społeczeństwo dawne, ciśnie rozumienie szkół zawodowych i wyższych. W kształceniu widzieliśmy lepszy los i wyższą pozycję tych, co się „wyżej wyuczą”. Sprawa szkół i kursów stoi dziś już inaczej. Dojrzała świadomość społecznej wagi setek tysięcy nowych, kwalifikowanych specjalistów.

Los osobisty absolwentów spręga się z potrzebami i nadziejami kraju jak długi i szeroki, dlatego w terenie, na prowincji w tabelach cyfr, obrazujących wzrost ilościowy kadr fachowców, odczytuje się odciski, jakie i w jakim czasie mogłyby tam zasilili i wzmocnić prace już zaczęte lub oczekujące podjęcia. Krótko mówiąc w społeczeństwie rośnie niechęć do plynności kadr pracowników w zawodach lub specjalnościach ważnych dla gospodarki uspołecznionej, dla społecznego życia. W społeczeństwie wzrasta gorące pragnienie planowego zatrudniania absolwentów szkół zawodowych (średnich) oraz wyższych akademickich i nieakademickich.



Uchwalone ostatnio przez Sejm dwie ustawy 1) o zapobieżeniu plynności kadr i 2) o planowym zatrudnianiu absolwentów — spełniają te uświadomione szeroko w kraju pragnienia i potrzeby. Ustawy te pozwolą na należyte, zgodne z potrzebami gospodarki narodowej, rozmieszczenie w okresie Planu 6-letniego ok. 130 tysięcy absolwentów z wyższym wykształceniem i ok. 390 tysięcy absolwentów średnich szkół zawodowych. Projekt ustawy stanowi, że przy podziale pracy uwzględnić się będzie — o ile możliwości życzenia absolwenta co do rodzaju i miejsca pracy oraz inne okoliczności o znaczeniu bądź osobistym dla absolwenta bądź też społecznym.

Ustawy o zapobieżeniu plynności kadr i planowym ich zatrudnieniu dopełniają ustawę o państwowych stypendiach, nadając drodze młodzieży robotniczej i chłopskiej poprzez szkoły zawodowe i wyższe studia jeden kierunek. Dzieci robotników i chłopów wracają do pracy w masy robotniczo-chłopskie aby z nimi i dla nich urzeczywistniać socjalistyczne jutro.

Wszystkie trzy ustawy wymagają jak najszerszej popularyzacji. Szusznym i koniecznym jest aby naszej kształcącej się młodzieży przypominać wszędzie i zawsze, że pomoc niosą jej miliony ojców, braci i sióstr, miliony pracujących robotników i chłopów. Powiększyć tę pomoc mogą

oni, młodzi specjaliści rozszerzając i wzmagając produkcję, rozszerzając i wzmagając świadomość socjalistyczną w walce i pracy o lepszą przyszłość narodu.

Szuszny i koniecznym jest aby w szkołach podstawowych na wsiach, w kołach młodzieży, Związku Samopomocy, uczono dzieci, wpajano młodym świadomość, że ich start do szkół wyższych, to start w przyszłość na placówkę nieznaną najczęściej, ale potrzebną i oczekiwaną w Polsce, kraju robotników i chłopów. Pójdą zawsze tam, gdzie najpilniejsza potrzeba, gdzie najważniejszy punkt. Z idei planowego rozmieszczenia czerpać mogą swą dumę. Bo to jest ich dumą, że z klasy robotniczej i chłopstwa drobno i średnio-rolnego wychodzą, że zdobywają wiedzę i tam idą gdzie potrzeby, trudności i waga zwycięstwa spłatają się w jedną całość. Nie można odwracać żadnego z tych członów, tylko razem ugruntuje one w społeczeństwie nowy urok kadrowców-specjalistów.

Jan Kryza

- 1) O państwowym systemie stypendialnym.
- 2) O zapobieżeniu plynności kadr pracowników w zawodach szczególnie ważnych dla gospodarki społecznej.
- 3) O planowym zatrudnieniu absolwentów średnich szkół (zawodowych) oraz wyższych.

LEONARD SOBIERAJSKI

O literacką wizję wsi

(Nad powieścią Antoniego Olchy *)

węzłowych, odsłania mu krzyżowe konflikty dnia. By mogły one wejść na warsztat literacki, trzeba jeszcze czegoś więcej — dużego doświadczenia społecznego, wnikięcia w środowisko, gdzie te konflikty się rodzą.

Pisać o klasie robotniczej, pisać o wsi — to być problematyką tych klas, to być po prostu w masach ludowych. To jest warunek drugi. Żyć w masach ludowych to zbagacić się o instynkt klasowy, to dożyć procesy „nowego” od jego korzeni, to wzmocnić niesłuchanie swojej czujności na te przejawy życia, które wnoszą klasa robotnicza i podstawowe masy chłopiejskie w rodzinę, czy kształt socjalistycznego społeczeństwa.

Pisarz poznaje, doświadcza, by mógł wystąpić w swojej funkcji, by mógł twórczo sprostać swojej epoce. Poznane, doświadczone trzeba celnie, przekonująco wyrazić, trzeba łamać się z sumą środków, jakie przekazuje tradycja literacka, trzeba środki te prze-wartościować, zdać sobie sprawę z ich funkcji w literaturze epoki kapitalistycznej. Wydaje mi się, że jest to zagadnienie, które młodzi prozaicy muszą głęboko przemyśleć. Wstępujemy w okres planowego organizowania państwa, w tym momencie należy zdać sobie sprawę jak bardzo tradycyjna, mieszczańska powieść ciężko jeszcze formalnie nad naszą prozą. Podanie się jej schematowi, próba konstruowania obrazu dzisiejszego życia przy pomocy elementów, jakie ona wypracowała — musi doprowadzać do zamazanej, zamkniętej wizji rzeczywistości. Gdy się chce sprostać dziś normom gatunku literackiego, jakim jest powieść, trzeba pamiętać o tym, że musi ona dać inną konstrukcję życia, niż dawała ją powieść mieszczańska. Tej nowej konstrukcji życia muszą służyć jej warsztatowe elementy. W tym kierunku pisarz winien nateżyć wysiłek kompozycyjny. Wysiłek ten powinien się odświeżać w budowaniu postaci, w operowaniu opisem i komentarzem autorskim. Trudno dziś oczystwić rygorystycznie wyznaczyć wszystkie elementy poetyki normalnej dla polskiej powieści

realizmu socjalistycznego. Można jednak tworzyć jego przyczynki analizując ze strony wyrazu artystycznego te powieści, jakie się ostatnio u nas ukazują. Wydaje mi się, że krytyka, czuwająca i nad warszatem pisarskim oddałaby tworzącej się powieści dużą przysługę.

Czy byłaby to tylko krytyka formalna? Nie podobnego. Analiza formalna polegałaby na sprawdzeniu, na ile użyte przez pisarza środki są adekwatne dla badania konfliktów, jakie autor pragnął w dziele zarysować. Przyjmując ten punkt widzenia, postaramy się rozważyć powieść Antoniego Olchy „Most nad urwiskiem” ograniczając się oczywiście do kilku tylko elementów powieści.

„Most nad urwiskiem” jest wśród powojennych książek o tematyce wiejskiej pierwszą większą próbą ujęcia w powieściowym języku wsi po wojennej, a więc wsi po reformie rolnej, wsi organizującej się społecznie i gospodarczo w Związku Samopomocy. Chłopskiej, ale równocześnie i wsi — terenu, gdzie elementy kapitalistyczne potrafiły się mocno okopać, by z biedotą wiejską toczyć zacietę walkę o utrzymanie prywatnego gospodarstwa i społecznego. Olcha stara się w swojej powieści odświeżyć metody tej walki, stara się na przykładzie Henrykowa pokazać rozkład i przesunięcie się sił w nowej sytuacji. Akcentujemy te momenty powieści, które mają znaczenie historyczne, które w dzieło wnoszą barwę czasu i odświeżają typowe procesy dla wsi z lat 1946 — 47. Powstała dla nas pytanie, czy autor przede wszystkim te momenty wziął za podstawę konstruowania swojej powieści, czy nie ugiął się przypadkiem przed tradycyjnie pojętą fabułą, która zakładała pokazywanie bohatera od strony jego życia prywatnego, od strony konfliktów jednostkowych. Olcha niestety nie uniknął tego błędu. Wprowadzając sprawę Agnieszki Grebalówny, jako pierwszoplanową, zamocnił ostry rysunek społecznego obrazu Henrykowa, zachwiał właściwie proporcje, skierował zainteresowanie czytelnika na postać, która w to-

czając się walce klasowej niosła swoją własną sprawę. Agnieszka, córka wyrobnicy wiejskiej wraca z Niemiec z przymusowych robót. W Henrykowie zjawia się w rok po zakończonej wojnie. Autor powoli odsłania nam tajemnice tego późnego powrotu, by pokazać bohaterkę w sosie samoudreki, jest tu zwiniona zresztą rezygnacja z dziecka, które zostało w Niemczech, jest i „zawód miłosny”, jest wreszcie odnalezienie równowagi moralnej w podjętej walce o dziecko. Sprawa Agnieszki tak bardzo odstręcza od klasowego nurtu powieści, ponieważ autor nie mógł się oprzeć pokusie „pogłębienia psychologicznego” tej postaci, a wyszło na to, że została wyposażona w świadomość „psychologizującą” bohaterki drugorzędnej romansu mieszczańskiego. Tak potraktowana watek Agnieszki rozszarza powieść kompozycyjnie, osłabia jej nurt istotny. A jej nurt istotny odsłania się w rozgrywce o to, kto pokieruje sprawami gminy, jej nurt istotny nabiera wartości tam, gdzie pokazano nam zebranie gminne ZSCh, gdzie pokazano momenty ataku kulaka i spekulanta na placówki gospodarcze i polityczne wsi. Wydaje mi się, że powieść Olchy zyskałaby niesłychanie, gdyby te właśnie momenty decydujące o kompozycji dzieła. Autor przyjmując za naczelną dyktęwy artystycznej, pokazanie walki klasowej w Henrykowie, miałby szansę pełniejszego obrysowania i wydobycia przeciwstawnych sił społecznych. W powieści plastycznie wypadł obóz spekulanta-kulacki. Świeżo została pokazana taktyka Zadrę, który rezygnuje z własnego sklepu na rzecz spółdzielni i dzięki temu z koroną społecznika potrafi wciągnąć się nawet do Partii, by jako kierownik spółdzielni zreczyni machinacjami obcinać dla siebie kupony tych korzyści, jakie ustrój pragnął przekazać biedniejszej części wsi. Zadra wykazuje dużo energii przy organizowaniu spółdzielni, będzie ścigał wytrwale udziału nawet od najbiedniejszych — za nagrodę swobodnego dysponowania „materiałami deficytowymi”

mi”, no i przywłaszczaniem sobie „wyrobionych” nadwyżek. Poograbieniu spółdzielni przez bandę leśną proponuje bogatszym chłopom, by zasilili ją swoimi kapitałami. Mają oni założyć coś w rodzaju kumoterskiej spółki do eksploatacji spółdzielni gminnej. A co na to biedni chłopcy, a co na to naczelny Walega, sekretarz koła Partijnego w Henrykowie? Walega początkowo zachwycony jest Zadrą. Wydaje mu się, że sklepikarz stał się „nowym człowiekiem”. Olcha Walegę portretował trochę jako potomka społeczników ze szkoły Żeromskiego, stąd problem walki klasowej zaciera się w oczach nauczyciela wiejskiego. Błędem autora wydaje mi się jednak to, że w związku z nasileniem się „ducha ofensywy” po stronie elementu kulackiego nie pokazał dostatecznie silnie dojrzejacej świadomości klasowej u takich osób jak Cison, Cięcy, Plichta, Barwick, Cisonia autor odsunął na dalszy plan. Znamy go tylko z wystąpienia na zebraniu gminnym ZSCh, wiemy, że zginął z ręki bandy leśnej. Cięcy pokazuje się na kartach książki rzadko; Plichta odsłania się czytelnikowi w ostatniej partii powieści. A przecież to jest awangarda Henrykowa, dawni fomalni i drobnioludni, element najbardziej wyrobiony politycznie, ludzie wyposażeni w instynkt klasowy. Na nich powinna się bardziej skupić pisarska uwaga Olchy. W ich świadomości powinny się przełamywać fakty polityczne. O nich wiemy tylko z napomnień drugoplanowych postaci, z krótko zaznaczonych przez autora scen.

A przecież na terenie Henrykowa „łagodna rewolucja” nie przechodziła bezkarnie. Rok 1946—47 w małej wiosce to terror band leśnych, to zamach na Walegę, to ograbienie spółdzielni, to wreszcie śmierć Cisonia. Były to mocne uderzenia wroga klasowego.

Fakty te w powieści nie odbiły się dostatecznie silnie. Autor przecież mógłby posłużyć się nimi, jak tygłem, w którym wytopia się świadomość polityczna henrykowieckich drobnioludnych chłopów. Dla Jaśnicy, Plichty i chłopów z nimi związanych szkoła politycznej oceny tych faktów uświadomiłaby im konieczność walki, rozszerzyła znajomość form, pod jakimi występuje wróg klasowy.

Tymczasem autor nie przeprowadza bohaterów świadomości przez te szkło. Stąd wynika dość paradok-

salna sytuacja. Kulacy osaczają wieś, oni to w pełni zdają sobie sprawę z podjętego ataku, a obrońcy interesów biedniackiej wsi po prostu całą sprawę nie zauważają — ich czujność klasowa jest zupełnie uśpiona. Czytelnik zadaje sobie pytanie, jakby w Henrykowie rozwinęła się sytuacja, gdyby Zadra nie zaryzykował w sposób zbyt nachalny wciągnięcia do kumoterskiej siły Jaśnicę a później Plichtę, a zwłaszcza Plichtę.

Przypominamy sobie, że Plichta zupełnie nie przyjmuje służnej krytyki, towarzysza partyjnego murarza Sarnka, który przyjeżdża do Henrykowa z ekipą robotniczą, by pomóc drobnioludnym chłopom w sieciach wiośnianych. Świadomy robotnik Sarnek potrafi klasowo ująć sytuację Henrykowa. Plichta nie. Olcha nie poszedł w powieści na metodę rozbudowywania poprzez szereg etapów świadomości klasowej wprowadzanych przez siebie postaci. Przyjął rozwiązanie łatwiejsze: pokazał fakty. Dał pierwszą jakby warstwę rzeczywistości społeczno-politycznej wsi.

Z tej pierwszej warstwy dał w dużym zbliżeniu i sytuację i postacie, które ukazują pasywną rolę elementów kapitalistycznych wsi, które ukazują odradzanie się wycisku i spekulacji. Te momenty otrzymały w powieści przekonujący wyraz artystyczny. Tam, gdzie autor próbował kreślić obóz postępowy Henrykowa — nie poszedł dalej poza sformułowania raczej dziennikarskie, w które wyposaża bohaterów, każąc czytelnikowi wierzyć, że one wyrażają stopień ich świadomości klasowej. W powieści Olchy nie została artystycznie, przekonująco pokazana droga ideologicznego wyrastania tych sił, które na ostatnich kartach książki przechodzą do kontrofensywy na obóz kulacki Henrykowa. Dlatego tak błado wypada w powieści scena ostatnia, w której autor modeluje „żywy obraz” dwóch obozów Henrykowa. Zakłócenie książki stawia czytelnika przed perspektywą mającej się dokonać rewolucji w Henrykowie. Nie pokazano nam jednak wcześniej bohaterów tak, byśmy byli całkowicie przekonani, że wysunie ona na powierzchnię wci siły, które rozumieją sens; toczącej się walki.

Leonard Sobierajski.

*) Antoni Olcha: „Most nad urwiskiem”. Wydawnictwo Ludowe, 1949.



Wobec tych się ostatnio dyskusjach literackich na łamach pism białych na zebrań, których tematem był problem nowej literatury — mimo przeorania szeregu podstawowych dla dzisiejszego piśarstwa spraw — nie wiele poświęcono uwagi zagadnieniu warsztatu piśarskiego. Przypominam sobie dyskusję nad nową prozą, jaka się toczyła w gronie ludzi dobrze zorientowanych w trudnościach znalezienia trafnej wyrazu dla literackiego ujęcia istotnych momentów dzisiejszej rzeczywistości. I tam sprawa techniki literackiej, pojętej szeroko, jako suma środków i piśarskich, przy pomocy których można by atakować przetwarzające się życie — wymknęła się uwadze rozmówców. A jest to przy wspólnej batalii o prozę realizmu socjalistycznego — sprawa nie biała.

Trafnie wyraził dziś rzeczywistość, którą kształtują masy ludowe — można tylko wtedy, jeżeli pisarskie widzenie życia wyrasta z głębokiej dojrzałości ideologicznej, jeżeli stoi za nim wiedza, znająca punkty wyjścia i konieczny kierunek rozwoju naszej, zmierzającej do socjalizmu rzeczywistości. Ta dojrzałość doprowadza pisarza do właściwego tworzywa, pomaga mu koncentrować uwagę na właściwych sprawach, ułatwia mu dobór faktów i ustalenie między nimi hierarchii. Jest to warunek rozstrzygający dla stworzenia piśarstwa realizmu socjalistycznego. Ale jest to warunek pierwszy. Znajomość tworzących się procesów, ich ideologiczne opanowanie — doprowadza pisarza do punktów

N IENAWIDZE patrzył na Polesie od strony folkloru... — mówi bohaterka „Topieli” (*), Maria do adwokata z Warszawy, zachwycającego się Polesiem — na Topiele trzeba patrzeć nie od strony haftowanych fartuchów, ale od strony kółtana.

Ta wypowiedź Marii zdradza koncepcję powieściowej autorki. Dotychczasowa twórczość literacka o Polesiu, a szerzej o całych przedwojennych ziemiach wschodnich nie wychodziła w zasadzie poza ramy konwencji ustalonej niedługo przez powieści Orzeszkowej, Weyssenhofa czy Rodziewiczówny. Obraz t. zw. kresów wschodnich ogólniejszy z reguły z pozycji ideologicznych dwurak szlacheckiego i perspektyw „przedmurza”, dla których lud zamieszkujący te ziemie był najwyżej marginesowym ornamentem.

„Topiela” podobnie jak „Płomiń” do bagna „Wandy Wasilewskiej”, przełamuje te tradycyjne konwencje, dając obraz Polesia szeroko dokumentujący gospodarczo-społeczne i polityczne zagadnienia t. zw. „Kresów wschodnich”.

Na pierwszy plan w powieści wysuwa się zagadnienie stosunku wzajemnego Polaków i Polaków — a więc problem narodowościowy. Już w „prologu” powieści daje autorka symboliczny skrót tych stosunków. Topiela jest wsią poleską. Na drugim brzegu Horynia znajduje się polska osada, lecz „choćby wszelkimi księgami przypisaną została do Topieli, nie chrzczone jej tym mianem. Osada nazywała się po prostu Tamta Strona. Pomiędzy Topielą a Tamtą Stroną płynęła spokojnie rzeka przecięta promem, ruchomym pomostem łączącym obie strony. Obok promu od świtu niemal aż do nocy gromady dzieci oburzały się kamieniami, nie szczędząc przydomków i obelg, obrażających do głębi poczucie narodowej dumy”.

Metody polonizacyjne uprawiane na tych obszarach pokazuje autorka na przykładzie Dziwkowiczki, przysiadającej do niej, jednocześnie — nauczycielka, fotografa i konfidenta. Fotografa, bo jego sportem jest uganianie się z aparatem fotograficznym po okolicy dla „utrwalenia” śladów polskości na Polesiu. Poza uprawianiem tego niewinnego rzemiosła jest jeszcze konfidentem tropiącym komunistów, i psem łańcuchowym reżimu. Doskonała ilustracja tej postawy staje się tragicomiczny wypadek jakiegoś dziurawego, który w wyniku zbyt nachalnego zachęcania „muzyków” do świętowania rocznicy śmierci Piłsudskiego.

Dlaczego działalność Dziwkowiczki i zwykany policyjny przychyłają się do rozpalać nienawiści narodowej. Autorka słusznie wskazuje, że problem narodowościowy na Polesiu miał podkład klasowy. Różnice narodowościowe pokrywały się tam z różnicami klasowymi. Stąd mniej uświadomieni chłopcy swa nienawiść klasową formułowali w języku szowinizmu narodowego. Polak

EDMUND NIZIURSKI

T O P I E L A

był zarazem panem. Ukrainiec — chłopem.

Problem narodowościowy uchwycił autorka również w jego niewrażliwym punkcie — w szkole. Polityka sanacji, która ze znanych względów lekka się oświaty mas ludowych, dążyła do utrzymywania Polesia w stanie gospodarczego i kulturalnego zacofania, co miało z jednej strony pomagać w eksploatacji ludności tych obszarów, a z drugiej strony hamować rozwój świadomości narodowej.

Oświatę wydzielano więc Poleszkom w takiej dawce, by spełniając funkcję polonizacyjną — nie zaszkodziła interesom klasowym — „polskich panów”. Pamiętamy, że o 15 km od Topieli znajduje się polski majątek zatrudniający ludność okolicznych wiosek za wynagrodzeniem 50 gr za dniówkę.

Czteroletnia szkoła I stopnia, osławiony wynalazek braci Jędrzejewiczów, produkująca masowo powrotnych analfabetów, doskonale się do tego nadawała. Zamykała bowiem dość skutecznie dostęp do szkół średnich, choćby zawodowych, a więc dawała gwarancję, że z polskiego bloku nie wyjdzie się nie tylko „mniejszościowa inteligencja”, ale nawet „zwykły”, światły człowiek.

Zrozumiałe, że do takiej szkoły nie bardzo kwapiono się posyłać dzieci... Autorka pokazuje, jak wysiłki nauczycielki podniesienia frekwencji szkolnej i poziomu nauki natrafiają na przeszkodzie nie do przewidywania. „Topiela” udowodniła, jaką fikcją było „bezpłatne” i powszechne nauczanie w warunkach przedwojennej Polski, szczególnie w tak zaniedbanych dzielnicach jak Polesie, gdzie chłop nie stać było już nie tylko na podręczniki, nie tylko na buty i ubranie dla dziecka, ale dosłownie na kawałek chleba. Cenzurki tych dzieci pisały głód, chłód i choroby, trudno więc było wymagać od nich dobrych wyników w nauce.

Poszukując przyczyn zaniedbywania szkoły przez dzieci, nauczycielka, panna Hanka, poznaje się z niewysłowioną nędzą Topieli, tym straszniejszą, że pogłębiała przez ciemnotę i zabobon. Nędza ta dochodziła do punktu kulminacyjnego na wiosnę, kiedy niemal w każdej chacie brakowało już nie tylko chleba, ale ziemiaków — ludzie żywności się szepawili i zaprzędawali wyzyskiwaczom.

Do głodu z reguły przyłączał się na wiosnę tyfus i dziesiątkował ludność.

Tę „immanentną” nędzę pogłębiała jeszcze ucisk państwowy z zewnątrz. Wiosnę w swej ciemnocie zdana jest zupełnie na łaskę i niełaskę policji ustawicznie nadużywającej swej władzy, terrorizującej wieś i osaczającej ją szpi-

clami. Równie częstym i znienawidzonym przedstawicielem na wsi jest sekwestrator.

W tej sytuacji dochodzi nieraz do starć. Ucisk klasowy natrafia na opór, przechodzący czasami w otwartą walkę wręcz. Taką sceną walki klasowej w najostrejszym tego słowa znaczeniu staje się bitwa, jaką stoczyli chłopcy o „brudok”, czyli łake, do której zaczął sobie rościć pretensje dwór. Takim odruchem buntu jest próba pławienia sekwestratora.

Zasieg spojrzenia klasowego jest jednak u Dróżd-Satanowskiej w pewnym sensie ograniczony. Ryślec autorki rozgryzławszy podkład spraw narodowościowych i dotarłszy do warstw podziału na „chłopsko” i „państwo” głębiej już nie dociera. Mimo, że autorka wspomina o różnicach majątkowych, o bogactwie Timofieju, naradzie pisarskiej autorki nie jest już tak precyzyjne, by w masie polskiej chłopstwa dostrzec różnice klasowych i walki klasowej. Sprawy te przesłaniają antyzgonyzmy bardziej widoczne między chłopem a panem. Piękne córce gajowego — Hapce — obraz bogatego chłopca Timofieja zachwiewa przecież pańszczyznę Michaś.

Obraz Polesia oglądamy najczęściej oczyma 19-letniej nauczycielki Hanki, która przybywa objąć w Topieli pierwszą posadę nauczycielską „przejął swym posłannictwem, przepojona naukami o kagańcu oświaty, o miłości bliźniego i na dodatek o potęgę i mocarstwo Polski, o poddaństwie dobrowolnym i radosnym kilku unii, o złączeniu się wiekistym Litwy, Białorusi i Ukrainy z wielką, wspaniałą, szlachecką i szlachetną Polską”.

Autorka zapoznaje nas z bardzo ciekawym procesem przemian światopoglądowych Hanki. Staje się rzecz niespodziewana. Odwróciły się role. To, koniec końcem, nie Hanka uświadamia i przekształca Topielę — to właśnie Topiela, pogardzana Hanka, przekształca Hankę.

„Po rocznym pobycie na Polesiu — Hanka zmieniła się do tego stopnia, że jej „komunistyczne” poglądy wywołały istne zgorszenie w jej rodzinnym endecko-dewocyjnym środowisku w Częstochowie. Powieść, a właściwie jej pierwsza wydana część, kończy się powrotem Hanki do Topieli, mimo, że nad Polską zawisła chmura wojny”.

Takie ustawienie sprawy zmusiło autorkę do specjalnej konstrukcji powieści.

Czułby niechęć do bezpośredniego komentarza, a zarazem lekając się, że samą akcją nie potrafi na-leżycie wyjaśnić problemów Po-

lesia, powołuje autorka do życia postaci równie światłych i inteligentnych, jak doskonale zorientowanych w miejscowych zagadnieniach — rodowitych Topielaków wyposażeń w dodatku przez autorkę w pełny autorytet i plenipotencję. „Specjami” tymi są Maria Przyboska, córka miejscowego polskiego chłopca, była studentka uniwersytetu i Michaś Kłimowski, syn leśniczego z Topieli. Oni to komentują i wyjaśniają nauczycielce zaobserwowane fakty, urabiają powoli jej wiedzę o Polesiu, pomagają jej ująć „prawdziwą” Topielę. Oni pełnią funkcję świadomości i sumienia Polesia.

Niestety, by tych mentorów ożywić, trzeba było dla nich zadziernąć ich własne watki, trzeba im było w myśl tradycyjnych wzorów wydzielić inteligencji rezerwat w polskiej wiosce, gdzie mogli wnieść cały swój intelektualny, psychologiczny bagaż — i oto niespodzianie gotowe. Jednolity obraz społeczny wsi polskiej nie wytrzymał ciężaru intelektualnych problemów i załamał się. Błędem autorki było, że na surowy w swej realistycznej prawdzie obraz wsi polskiej, w jednolite i zwarte środowisko „muzyk” — naniósł konflikty żywym zaczerpnięte z pseudopsychologicznych powieści „inteligentek”, obce w zasadzie opisywanemu środowisku i obce dla życia wsi. Dla życia wsi, ale nie dla powieści. Powieści bowiem zaszkodziły. Konflikty „inteligentek” dopuszczalne tu zresztą tylko ze względu na kontrastowość, jako uwytykujące proste, pierwotne i „naturalne” konflikty wsi nie powinny urastać do zagadnień pierwszoplanowych, jak to się dzieje w „Topieli” z powikłaniami życiowymi Michaśa i Marii.

Dość szczególnym zdolnościami i wytrwałością Maria przepełniała się przez gimnazjum i studiowała na uniwersytecie, póki nie wyszła za mąż. Wkrótce zerwała jednak z mężem i zniechęcona do życia zagrzebała się w Topieli. Tutaj po-maga od czasu do czasu „muzykom”, wstawia ich i... pielęgnuje na dnie serca niewygasła miłość do Michaśa. Jednym słowem byłaby nieszczęśliwą kochanką i dobrą panną z powieści Rodziewiczówny, gdyby nie to, że z prze-konań jest... komunistką. Poza tym zresztą okazuje się w każdym calu inteligentką według najlepszych wzorów dwudziestolecia. Do monotonnego „muzyckiego” Polesia wnosi „ogrymalne” inteligentkie urazy psychiczne, niewyżyte namiętności i nierozwiązane konflikty, wśród których góruje miłość do Michaśa.

„To co ich łączyło, to nie była przyjaźń, to była głęboka ukryta, siłą zepchnięta na samo dno duszy namiętność. Gdyby ktokolwiek

uprzytomnił im to — może Michaś nie musiałby zginąć. Lecz kłót z miłości uczynił? On zbyt Marię ubóstwiał, aby jej powiedzieć: — kocham cię! Ona czuła się znowu zbyt stara, aby całować jego wypukłe chłopcowskie usta. I dlatego na drodze Michaśa stanęła Hapka, śliczna wiejska dziewczyna opromieniona romantyzmem swojej chłopskości, którą chciał nobilitować” — Oto tajniki zasadniczego konfliktu powieści.

Maria jako typ postępowej działaczki na wsi nie jest zbyt przekonująca. Zastajemy ją już „gotową” w pełnym rynsztunku ideologicznym i postępowej pozie. Jest nieprzekonywująca jak zawsze nieprzekonywujący będzie upo-zowany na marksistę inteligent, któremu wydaje się, że już bardzo dużo uczynił dla rewolucji skoro dał się przekonać do idei komunistycznych. Nie widzimy Marii w żadnej określonej robocie „partyjnej”, nie pokazuje autorka jej łączności z jakąkolwiek organizacją postępową. Maria nie znajduje się żadną systematyczną pracą społeczną czy polityczną. Za taką nie można przecież uważać jednej pogadanki w świetlicy na temat Hiszpanii, doraźnych interwencji u władz, czy indywidualnego kształcenia Trofima. Zresztą nie te momenty wzbijają się najbardziej w pamięć czytelnika. Mimo, że autorka pokazuje próby Marii podziwiania się z odrętwienia po śmierci Michaśa, dla czytelnika Maria pozostaje przede wszystkim nieszczęśliwą kochanką.

Innego rodzaju konflikty przeżywa Michaś. Jego droga do socjalizmu była trudniejsza niż Marii, włókł bowiem za sobą bagaż obciążeń klasowych, pochodził z klasy „panów”, ze środowiska o szlacheckich, zacofanych reakcyjnych poglądach.

Nigdy też się od swego świata nie uwolnił. Zawsze przypominał będzie panica bawiącego się w „czarowego luda”. Jego bratanie się z ludem określi najlepiej sama Maria: „To jest taka łaska pańska, ...zawsze jestem temu przeciwna, ale Michaś żyć nie może, jak się kaszy nie naje u chłopów. I ja mu ustępuję. Lecz jestem zdania, że takie wizyty usypiają ich”.

Michaś nie potrafi rozwiązać banalnego zagadnienia młodości — miłości. Był zbyt słaby, by prze-móc opór rodziców i ożenić się z wiejską dziewczyną Hapką. Z drugiej strony jego „szlachecki honor” nie pozwolił mu jej porzu-cić. Romantyczna etyka podkto-wała mu jedyne „wyjście” — śmierć.

Michaś reprezentuje zmaganie się w duszy człowieka nowej idei ze starymi tradycjami. Postać Michaśa wskazuje jak trudno zerwać więzi klasowe, jak mści się dziedzictwo klasowe na renegatach.

Odporenie i przytłaczającej atmosferze tych „inteligentek” wątków czeka czytelnika dopiero, gdy autorka przechodzi do innych postępowych postaci powieści — chłopów. W zapomnianej Topieli zaczyna się bowiem budzić nowe. Piękna postać powieści — jest Grzegorz syn Zajęzyczy, niezwykle zdolny samouk. Najwięcej skrzył się z pobytu w więzieniu. Dostał się tam z powodu zatargu z policją, której nie podobało się czytanie przez Grzegorza prasy lewicowej, zresztą legalnej. W więzieniu mógł dopiero, korzystając z wolnego czasu pracować nad sobą i pogłębić wykształcenie. W powieści znajmie on miejsce Michaśa po jego śmierci — nie tylko w sercach kobiet, ale i w robocie politycznej i — przy-znajmy — robi o lepiej, bez ludomaniństwa zato z energią i uporem chłopskim. Po wyjściu z więzienia pracował przecież jako robotnik w fabryce i nauczył się prawdziwego marksizmu nie tylko w teorii, ale i w praktycznym działaniu.

Mimo krzywd wyrządzonych mu przez sanację, Grzegorz w 1939 r. pójdzie bić się za Polskę — w imię dobrze pojętego internacjonalizmu — będzie to przecież walka z gorszym jeszcze wrogiem od sanacyjnego reżimu, z faszyzmem niemieckim.

Więzieniu także zawdzięcza Kiriyo swoją przemianę wewnętrzną. Kiriyo ukradł kawałek drutu telefonicznego (był mu potrzebny do wyrobu beczek). Przeważająca policja dopatrzyła się w tym akcie niedobrych politycznych i roboty komunistycznej i Kiriyo dostał się do więzienia jako „polityczny”. Wyszedł jako uświadomiony komunist.

Nadzieją Topieli jest również Trofim. Jego pęd do oświaty wykorzystywał zrazu zawiadowca, podkarmiając go literaturą dewocyjną. Po śmierci Michaśa zajął się nim Maria i Trofim powiekszy zastęp światłych i postępowych Topielaków.

Do poważniejszych formalnych braków książki Dróżd-Satanowskiej zaliczyć trzeba przestarzałe party dialogowe, rozgadaniach niepotrzebnie akcje. Powodem ich jest zarówno to, że autorka nie potrafi wywodzić prawdy społecznej o Polesiu bez nadużywania publicystyki, jak i zwykła skłonność do gadulstwa, brak należytej uwagi w doborze i selekcji wypowiedzi postaci książkowych.

Mimo niedociągnięć, które wytkniemy w toku naszych rozważań, autorka osiąga zasadniczy cel artystyczny. Czytelnik otrzymuje prawdziwą, realistyczną wizję Polesia. I to jest podstawowa zaleta książki — osiągnięciem zbliżającym poważnie autorkę do progów realizmu socjalistycznego.

Edmund Niziurski

(*) Zofia Dróżd-Satanowska „Topiela”, Spółdzielnia Wydawnicza „Wiedza, Warszawa 1948.

WŁADYSŁAW BLACHUT

JESZCZE O REWOLUCJI KULTURALNEJ NA WSI

W nrze 10 (241) „Wsi” z dn. 12 marca b. przeczytałem z satysfakcją interesujący reportaż Franciszka Grabowskiego na temat upowszechnienia czytelnictwa gazet i książek w gminie Iwierzycy, pow. Debica.

Przy tej sposobności stwierdziłem, że jego spostrzeżenia na temat chłopiejszego czytelnictwa w okresie międzywojennym i w budzącej socjalizm Polsce Ludowej oparte są na prawdziwych a przy tym krytycznych przesłankach. Widać, że autor reportażu żyje terenem, widzi co się wokół niego dzieje i pragnie przyspieszyć przebieg wielkich przemian na odcinku wiejskim.

W reportażu Grabowskiego zaciekał mnie najbardziej ten ustęp, w którym zastanawia się on, co należy zrobić, aby czytelnictwo prasy „rozwyszczniało się jeszcze bardziej na terenie wsi”. Na marginesie osiągnięć w kolportażu prasy chłopiejskiej przez agencje w Wiercanach Grabowski dochodzi do przekonania, że należy „powołać i uaktywnić specjalne komitety propagandowe, które pracując wspólnie z pracownikami poczty będą pomagały przy zjedynianiu prenumeratorów. W ten sposób pośrednio stwierdza, że występuje dziś coraz wyraźniej zjawisko masowego czytelnictwa prasy w ośrodkach wiejskich w dużej mierze przypisać należy zasługom poczty i pocztowców, t. j. kierownikom małych placówek pocztowych i listonoszom wiejskim, o czym, niestety, zbyt mało mówi się i pisze.

Stwierdzenie to nabiera szczególnej aktualności w chwili, gdy kraj nasz rozgrywa planową kampanię o zmianę gospodarczego i kulturalnego oblicza wsi, o odrobienie wiekowych obelg na polu oświaty powszechnej. W toku tej walki przyspęcha w cenie treści książki oraz torujące jej drogi przez wieś: tani kalendarz i postępową gazetę, przenikającą coraz głębiej pod chłopską strzechę i zyskującą sobie wśród chłopów coraz większą popularność i sympatię, spełniającą szczególną misję. Trzeba przyznać, że dokonana na przetrzyni ubiegłego roku rozbudowa kadry listonoszów wiejskich do stanu niepotowanego u nas w okresie reżimu sanacyjnego, zaprowadzenie co-

dziennego doręczania poczty w każdej gromadzie wiejskiej oraz wielkie zagęszczenie sieci wiejskich placówek pocztowych, nie pozostało bez dodatniego wpływu na rozwój czytelnictwa w masach chłopiejskich.

Wyrazem tego są zwiększające się z miesiąca na miesiąc nakłady czasopiśm, przeznaczonych dla zaawansowanych politycznie i bezpartyjnych mas chłopiejskich a przede wszystkim wyraźny wzrost kadry stałej i odciorów słowa drukowanego na wsi, przy czym pojęcie „słowa drukowanego” rozciąga się nie tylko na tradycyjnie najpopularniejsze w ośrodkach wiejskich: gazetę czy kalendarz, ale również na wartościową, przez poszczególnych wydawnictwa planowo wśród chłopów kolportowaną książkę.

Miliony gazet i dziesiątki tysięcy rozproszonych miesięcznie przez pocztę wydawnictw książkowych — to skuteczny oręż na froncie walki z zacofaniem gospodarczym i kulturalnym wsi, to czynnik przyspieszający przeobrażenia ideologiczno-społeczne i gospodarcze w życiu wsi.

Prowadzone pod hasłem „Przynajmniej jedna gazeta w każdej chłopiejskiej chacie” współzawodnictwo pracy pocztowców na polu kolportażu prasy robotniczo-chłopskiej z miesiaca na miesiąc przynosi lepsze wyniki i daje gwarancję wyrugowania zmywu powrotnego analfabetyzmu z rejonów wiejskich.

Widoczne sukcesy nie osłabiają czujności stale rosnącej kadry listonoszów wiejskich. Ubrojeni w coraz lepszy rynsztunek ideologiczny i bogatszy ładunek słowa drukowanego wraz z aktywnym kulturalno-oświatowym są na drodze do likwidacji na wsi kulturalnych odogów, by przygotować grunt dla nowego, które idzie...

Podziwiał przy tym należy osiągnięcia indywidualne i zespolowe tych świadomych swego posłannictwa ambasadorów słowa drukowanego na wsi.

Dziś chciałbym na tym miejscu podkreślić wspaniałe osiągnięcia zespolowe i indywidualne produkujących listonoszów wiejskich z okręgu krakowskiego, tj. z województwa krakowskiego, rzeszowskiego i części

kieleckiego. Na pierwszym miejscu postawić tu należy Węgierską Górę.

Węgierska Góra w powiecie żywieckim to wieś słynna nie tylko z piękności swego położenia, lecz także miejscowość od dłuższego czasu przodująca na polu upowszechnienia czytelnictwa prasy chłopiejskiej i robotniczej w województwie krakowskim.

O ile pierwszy przymiot Węgierskiej Góry jest od niej niezależny (dar przyrody), o tyle jej przodownictwo kulturalne na polu czytelnictwa w znacznej mierze przypisać należy zasługom tamtejszej placówki pocztowej i jej w wysokim stopniu uspołeczniczonych pracowników.

Pocztą w Węgierskiej Górze, na czele której od roku 1933 (z przerwą okupacyjną) stoi ob. Marian Obacz, obsługuje obszar 18 rozczynek w górach gromad i osiedli, zamieszkanych przez 12416 osób (w tym 3400 rodzin) mało i średniorolnych chłopów i robotników.

„...Za sanacji w roku 1939 chłopcy tutejsi nie mogli pozwolić sobie na stałą prenumeratę gazet. Tylko niektórzy kupowali ją od święta lub po wypłacie” stwierdza naczelnik Obacz, w Odrodzonej Polsce Ludowej sprawa ta przedstawia się zupełnie inaczej.

Dowodzą tego nadzwyczajna chłonność „słowa drukowanego” w terenie i ciągle wzrastające kadry stałych odbiorców takich czasopiśm jak: „Przyjaciółka” (610 prenumeratów), „Gromada” (539), „Rolnik Polski” (397), „Chłopska Droga” (238), „Świerzyk” (169), „Pokolenie” (101 i innych).

O ile w roku 1946 w rejonie Węgierskiej Góry było tylko 67 stałych prenumeratów i rozchodziło się 1517 gazet, miesięcznie, o tyle na dzień 1 marca br. liczba prenumeratów czasopiśm robotniczo-chłopskich wzrosła do 2573 (!), a ilość rozproszonych miesięcznie gazet osiągnęła imponującą cyfrę 17290!!

Niezależnie od tego robotnicy, zatrudnieni w Odlęwni Żelaza, otrzymują w prenumeracie zakładowej ponad 2000 wydawnictw RSW „Prasa” a około 150 osób prenumeruje czasopiśm specjalnie bezpośrednio u wydawców. W ten sposób na terenie Węgierskiej Góry i najbliższej oko-

licy prasa robotniczo-chłopska liczy sobie prawie 5 tysięcy stałych odbiorców!!!

Niemala w tym zasługa tamtejszych listonoszów wiejskich (Szczotka, Grzegorzek, Jasek, Jurasz, Łajczak i Świątniowski), którzy od szeregu miesięcy współzawodniczą ze sobą na polu upowszechnienia czytelnictwa i dziś doprowadzili do tego, że w ich rejonach doręcza każda rodzina chłopiejska czyta stale przynajmniej jedną gazetę.

W parze z upowszechnieniem czytelnictwa prasy rozwija się czytelnictwo wyższego rzędu. We współzawodnictwie okręgowym właśnie listonosz wiejski z Węgierskiej Góry ob. Franciszek Szczotka, b. robotnik fabryczny i górnik emigracyjny (Francja) zdobył pierwsze miejsce w rozprawianiu doskonałego Kalendarza Zw. Samopomocy Chłopskiej „Poradnik Rolnika”, uzyskując wśród 1227 obsługiwanych przez siebie mieszkańców imponującą cyfrę 761 odbiorców tego wartościowego wydawnictwa.

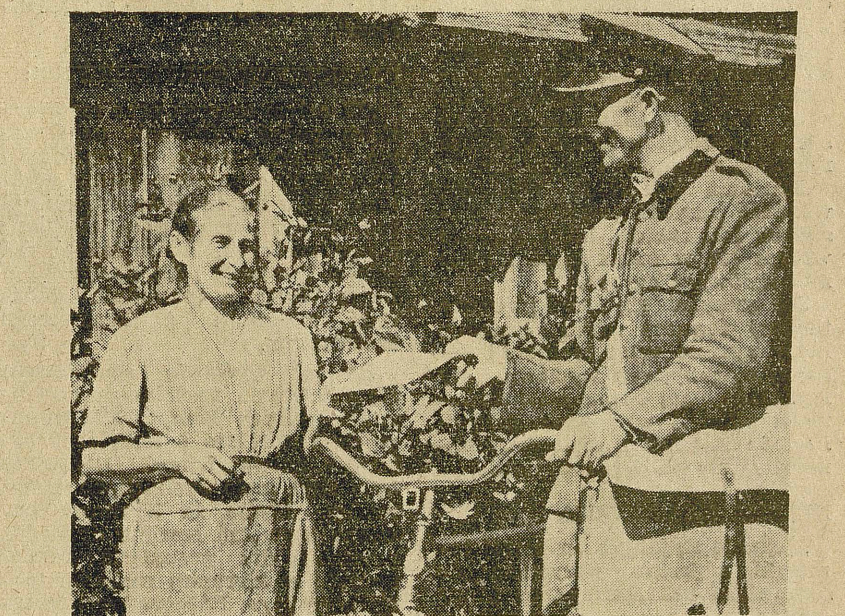
Pozostali listonosze rozprawiali w ub. roku ponad 2 tysiące kalendarzy „Przyjaciółki” i Z.S.Ch. „Poradnik Rolnika”.

Również wydawnictwa książkowe „Faraon”, „Płocówka”, „Pan Tadeusz” oraz broszury specjalne w rodzaju „Reflektorem po świecie” i inne znajdujące wśród tamtejszych chłopów najchętniej nabywane.

W ten sposób za sprawą listonoszy wiejskich wrażliwe rozumienie społeczno-polityczne i oświatowe chłopstwa kształtuje się coraz wyraźniej świadomości konieczności rychłych przemian gospodarczych na odcinku wiejskim.

Toteż osiągnięcia listonoszy wiejskich z Węgierskiej Góry znajdują odpowiednie uznanie zarówno w oczach miejscowej ludności, jak i u interesujących się przebudową kulturalną wsi czynników.

Rower i kilka poważnych nagród pieniężnych, przyznanych tamt. listonoszom przez Spółz. Wyd.-Ośw. „Czytelnik” i R.S.W. „Prasa”, stanowią macylny dowód tego uznania, zaś awans społeczny jednego z tamt. listonoszy (Jana Szczotki), który z pracownika fiz. przemianowany został na



Doręczanie poczty gospodyni wiejskiej z Brzostowej — Kolasek Józefie. (Fot. A. Millak).

pracownika umysłowego i odznaczony Srebrnym Krzyżem Zasługi świadczą o tym, że prawdziwa zasługa w budzącej socjalizm Polsce Ludowej nie pozostaje bez nagrody.

Osiągnięcia chłopiejskich listonoszy z Węgierskiej Góry stają się przedmiotem naśladowstwa na pozostałych pocztach.

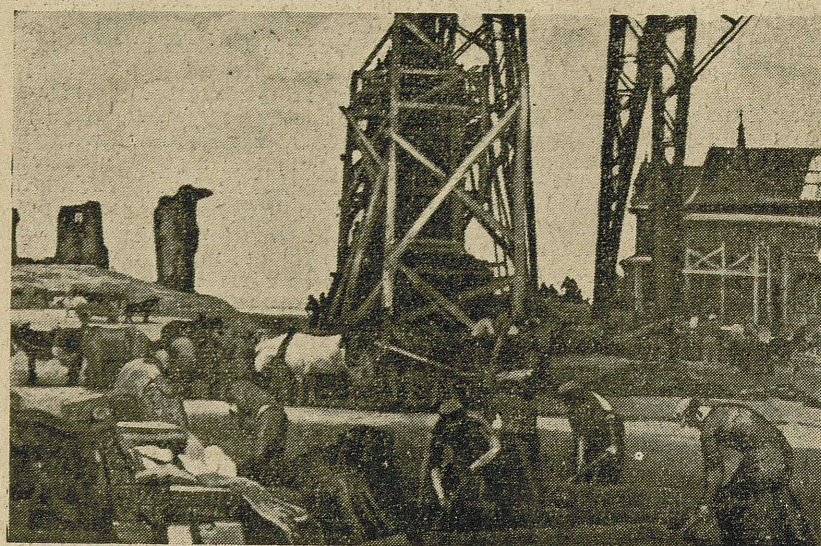
O agencji w Wiercanach napisał do „Wsi” Grabowski. Ja chciałbym jeszcze wspomnieć o peeselskim (miejscu podlegającym pod władzę Radkowie w tarnowskim i o biednackiej poczcie góralskiej w Cichym k/Czarnego Dunajca.

Otóż taki Radków za sprawą swoich listonoszy wiejskich a w szczególności kilkakrotnego przodownika pracy Jana Duliana rozprawia ostatnio wśród 8 tysięcy obsługiwanych przez siebie mieszkańców ponad 2 tysiące wydawnictw w prenumeracie zleconej, przy czym „Gromada” znalazła w rekordową cyfrę 1.115 odbiorców a wydawnictwo tak nowe dla wsi, jak „O trwały pokój o demokrację” aż 66! Na ten temat listonosz Dulian mówił mi mni:

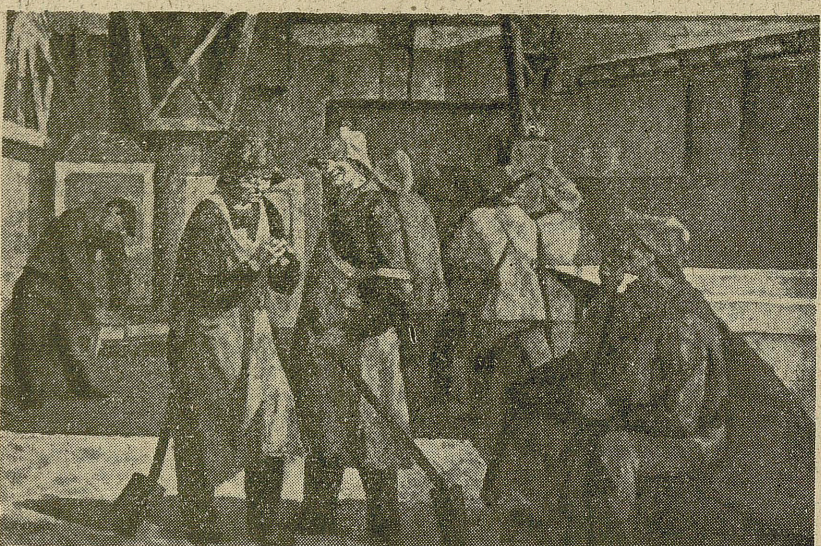
„W rejonie Upt. Radków obecnie czytają prasę — biedni, robotnicy, mało i średniorolni chłopcy. Bogacze nie bardzo się spieszą do czytania.

Władysław Blachut

Ogólnopolska wystawa plastyki



„Praca przy odbudowie kolumny Zygmunta” — S. Czajkowski.



„Papieros po wsadzie” — A. Krajewska.

W jesieni ubiegłego roku zapowiadano wystawę na marzec 1950 roku Pierwszą Ogólnopolską Wystawę Plastyki. Tematem Wystawy miało być życie współczesne, walka i praca, nowy człowiek Polski Ludowej. Zapowiedź Wystawy skierowywała plastykę polską na drogę jak najściślejszego powiązania się jej z masami pracującymi: robotnikami i chłopami, zachęcała do największej komunikatywności wyrazu plastycznego, do wejścia na drogę realizmu socjalistycznego.

Nadesłano na wystawę około 3.000 prac. Udział wzięło ponad 1.000 artystów plastyków. Wzwań było zostało usłyszane i docenione. Ze wszystkich stron kraju, z najbardziej zapadłych miejscowości, starych i młodych malarzy, samouczyli i amatorzy stanęli do ogólnokrajowego przeglądu swych sił i możliwości plastycznych. Jury Wystawy zakwalifikowało 629 z nadesłanych prac (408 autorów), z czego na malarstwo przypadało 380 prac, na rzeźbę 120 i na grafikę 110.

Pierwsza Ogólnopolska Wystawa Plastyki może i powinna mieć przełomowe znaczenie w rozwoju naszej sztuki. Nie tylko przez to, co bezpośrednio wniesie jej plon (trudno w tej chwili przewidzieć wyniki), ale przede wszystkim przez to, co wniesie do dyskusji, do rozważań kształtujących na masowych przykładach osiągnięć i błędów. Wystawą zainteresowani są bez mała wszyscy ludzie w Polsce rysujący, malujący i rzeźbiący.

Ilościowa wielkość Wystawy, wielkość pospolitego ruszenia plastyków jest faktem, który głęboko wdrze się w świadomość i życie mas ludowych narodu.

Już zaczyna się ów pierwszy twórczy ferment wśród malarzy, który ogarnie wkrótce masy widzów, oglądających wystawę, czy reprodukcje jej eksponatów na łamach piśm. Z wstępnych, gorących rozmów z malarzami odnotowujemy tu kilka urywków.

HELENA KRAJEWSKA

„Jedynie sięgnięcie do nowej tematyki, a przede wszystkim do środowiska robotniczego, do pracy robotnika i chłopca — jest właściwą drogą poszukiwań nowych form artystycznych. Tylko sięgając do nowych treści ideowych artysta jest w stanie sprawdzić nieprzypadkowość i wartość środków artystycznych estetyki burżuazyjnej.

Na czoło zagadnień plastycznych wysuwają się dziś dwa zasadnicze postulaty, które będą miały wpływ decydujący na prawdziwie twórczy rozwój naszej sztuki: 1) zmiana wewnętrznej postawy twórcy w stosunku do nowej, stojącej się rzeczywistości. Artysta musi być przekonany o słuszności naszej walki o socjalizm. Gdy przekonanie to przetrwałoby, byłoby wiarą i ukończeniem tej jedynie humanistycznej idei, gdy wejście w krew twórcy, wtedy dzieło jego stanie się własnością całego społeczeństwa. Dzieło tworzone bez wzruszenia, bez pasji będzie albo po prostu złe, albo w najlepszym razie, zainteresuje garstkę „znawców” jako etiuda formalna.

2) Zmiana zainteresowań i nawyków estetycznych. Twórczość artysty musi odkryć nowemu człowiekowi piękno nowych treści naszego życia. Musimy stworzyć nowe nawyki upodobania i zainteresowań. Świat dzięki nauce, technice i przemianom społecznym realizującym ideę sprawiedliwości znacznie się poszerzył. Świat naszych uczuć jest jeszcze ubogi i

ciężki, nosimy na sobie piętno burżuazyjnego dekadentyzmu, w którym kształtowały się opaczne poglądy estetyczne. Trzeba to świadomie zmieniać, tak, jak zmieniamy świadomie oblicze naszego społeczeństwa. Na naszym etapie historycznym — bezpośrednim przedmiotem walki są nawyki schyłkowej epoki kapitalizmu i dlatego tematyce burżuazyjnej wstecznej i apolitycznej musimy dialektycznie przeciwstawić nową tematykę budującą się epoki i tematykę tę uczynić bliską odbiorcy przez nasylenie jej nowych treści szczerym wzruszeniem — aby budowanie socjalizmu stało się w życiu piękne, bliskie i godne, podziwu.

Wystawa daje wyraz przełomowi, jaki zachodzi w postawie, nawykach artystów w stosunku do rzeczywistości. Powszechnym zjawiskiem wśród plastyków polskich jest przełamywanie kanonów formalistycznych, co wywołuje wiele nowych talentów twórczych i przywróci starych, zapomnianych artystów naszej sztuce. Patrząc na wystawę odnosi się wrażenie, jak gdyby życie wdarło się do sztuki, przetrzała ona być sprawą tylko ciasnej garstki fachowców, staje się własnością całego społeczeństwa.

FRANCISZEK STRYKIEWICZ

„W całym szeregu prac rzeźbiarskich widać usiłowanie uchwytności nowego tematu, co spowodowało zmianę gatunku formy rzeźbiarskiej. Są tu duże osiągnięcia realizacyjne, przy pozostałościach formalistycznych, które jednak dla całości Wystawy i dla dyskusji jakakolwiek jest. Wystawa powoduje, że dzieło materialu porównawczego rzeźbiarom.

Po tej wystawie spodziewam się osłabienia rzeźbiarstwa w kierunku dużych kompozycji grupowych, naturalnie o tematyce społecznej najważniejszej. Dotychczas było zbyt mało dyskusji na temat rzeźby. Myślę, że Wystawa powinna wywołać szeroką dyskusję, potrzebą dla posunięcia rzeźby naprzód w kierunku realizmu socjalistycznego. Różnorodność tematów, jaką wystąpiła w pokazie rzeźby nie jest jeszcze dostateczna. Rzeźbiarze w znacznym stopniu łączą swą pracę z architekturą. Moim zdaniem rozwój rzeźby polskiej nastąpi właśnie w łączności z architekturą. Zaprojektowanie na rzeźbę już nastąpiło — specjalnie w nowobudowanej się Warszawie.

EUGENIUSZ EIBISCH

„Wielka sztuka zajmowała się zawsze tym, co życiu nadaje sens, a nie życiu sens odbiera. Dlatego też, każdemu wielkiemu przełomowi w historii ludzkiej, kiedy jedna forma bytowania jest zastąpiona przez inną, lepszą — towarzyszy rodzenie się nowych haseł w sztuce, gdzie w nowej formie rodzą się życie znajduje swój wyraz.

Aby stworzyć klimat dla ostatnich 50 lat — burżuazja starała się przesunąć, jeżeli chodzi o sztukę — punkt zainteresowań estetycznych jak najdalej od człowieka, co zresztą w dużym stopniu zostało osiągnięte. Lubił artystów odesłać jak gdyby w inny świat, gdzie sprawy ludzkie nie przedstawiały wielkiego zainteresowania.

Poetyczny nurt życia powstającego musi porwać za sobą artystów. Zdrowy instynkt twórcy każe artystę powrócić do spraw człowieka. Dowodem tego jest obecna wystawa.”

(Wys.)

WALERY OSMENDA

ROBOTNICY W WOLI ZABIERZOWSKIEJ

(Z materiałów konkursowych)

I.

Rok temu z Krakowskich Zakładów Wytwarzających Materiały Elektrotechniczne w Krakowie została wysłana pierwsza ekipa robotnicza do gromady Wola Zabierzowska, w gminie zbiorowej Zabierzów Bocheński w powiecie bocheńskim, województwie krakowskim, w celu omówienia z kierownictwem ośrodka maszynowego w Woli Zabierzowskiej sposobów współpracy i zapoznania się z potrzebami tegoż ośrodka maszynowego.

Ekipa składała się z trzech osób — w skład jej wchodził sam robotnik.

Taki był początek. Od tego czasu w historii Woli Zabierzowskiej, do której dotarła reforma rolna i idea spółdzielni produkcyjnej, coś się zmieniło.

Odtąd, co drugą lub trzecią niedzielę, wpadał do wsi dziwnie nastrojający warkot motoru samochodowego wraz z wesoło usposobionymi ślusarzami, stolarzami i robotnikami wielkiej fabryki.

Chłom z początku było nijak. — Wiadomo: to komuniści, politykerzy. Co oni tu chcą, — pomrukiwali po kątach.

Ta inwazja życia fabrycznego w monotonię wsi była dla nich niezrozumiała i nastrojała ich raczej wrogo aniżeli przyjaźnie.

Robotnicy nie brali im tego za złe. Chętnie zaczęli z nimi pogawędki, rozdawali gazety, wczuwali się

w ich potrzeby i troski. To łamało niechęć chłopów i rodziło zaufanie.

Z tygodnia na tydzień, z miesiąca na miesiąc, wraz z wkładem pracy ekip robotniczych w życie wsi, tajała niechęć chłopów i budziło się w nich inne pojęcie o ekipach robotniczych, o robotnikach i o spółdzielni produkcyjnej.

W końcu, gdy którejś niedzieli ekipa nie przyjechała, chłopom zdawało się to dziwne i było powodem do przypuszczeń i przewidywań — kiedy też oni znowu do Woli Zabierzowskiej przyjadą.

II.

Oczywiście przemiany nie przysły naraz. Przechodziły one stopniowo. Goczał Franciszek, Hardy Piotr, Bilski Stanisław, Wolni Jan, Bogacz Jan i wielu, wielu innych pracowników dużej fabryki, wraz z 9-cio osobową Komisją Łączności z ośrodkami maszynowym w Woli Zabierzowskiej, dokładali starań, aby ekipy wyjeżdżające do Woli Zabierzowskiej składały się z młodych i swiatłych fachowców, ludzi znających bolączki wsi i chłopów i umiejących szukać na nie rady.

Ekipa robotnicza, wyjeżdżając z fabryki, zabierała ze sobą wszystkie potrzebne na wsi narzędzia pracy: kuźnie polowe, aparaty spawalnicze, młoty i młotki, imadła, pilniki, piły itd. itd. oraz niezbędne surowce i materiały.

Dobrosław Klimek

Dokąd pojedą pisarze

Z wielkim zainteresowaniem przeczytałem wypowiedzi pisarzy wyjeżdżających na wsi o tych właśnie wyjazdach („Więść” Nr 9 (240)). Zapewne celem ich jest nie tylko znalezienie tematu do przyszłego utworu, czy poznawanie życia na wsi. Każdy z pisarzy wyjeżdżających na wsi w poszukiwaniu nowych treści zdaje sobie chyba sprawę z tego, że jednocześnie wchodzi w teren, na którym w obecnej chwili najbardziej rozgorzała walka klasowa. Stąd drugim celem pisarza jest wzięcie udziału w tej walce — współpraca z podstawową organizacją „Pracę” z Kołem ZSCh., z młodzieżą ZMP-owską, pomoc dla organizujących się spółdzielni produkcyjnych, domów kultury, świetlic itp. Jednocześnie pisarz jako człowiek o dużym wyrobie społecznym i politycznym może i powinien zwracać wielką uwagę na machinacje wroga klasowego i być czujnym wobec nich.

Mając takie założenie na względzie, musi on głęboko zastanowić się nad wyborem wsi. Jak wynika z listów pisarzy we „Więści”, to większość z nich wybiera się do wsi produkcyjnych w obecnej fazie rozwojowej. A więc Władysław Machek jedzie do wsi, w której jest spółdzielnia produkcyjna i Jan M. Gieses tam, gdzie dom kultury, uniwersytet ludowy itp., Czesław Schabowski wybrał PGR, Edward Martuszecki będzie jeździł z kinem objadającym, trzymając się ludniejszych i lepiej zorganizowanych wsi. Pogan — może właśnie Pogan wybierze coś innego. Jemu przecież to chleb powszedni — dotrzeć do tej wsi z dalszego planu.

Dlaczego tak piszę i o co mi chodzi?

Otóż jest rzeczą niewątpliwą, że wsi, w których już są np. Spółdzielnie produkcyjne, PGR-y, wsi z kinami i domami kultury — są najlepszymi utworami przyszłej socjalistycznej wsi. W nich może pisarz badać dokładnie jak przez mikroskop zarówno przebieg walki klasowej, budzenie się nowej świadomości chłopskiej, jak i początki budownictwa socjalistycznego. Ale spojrzmy na tą sprawę z innej strony.

Są wsi, gdzie tkwią jeszcze w głębokim zacofaniu społecznym i oświatowym. Weźmy za przykład powiat miechowski, który pod tym względem może jeszcze najlepiej stoi w woj. krakowskim. Wystarczy przejść się po wsiach takich gmin jak Nieszów, Racławice, Książ Wielki... aby się zorientować w sytuacji. Są wsi, które do dziś pozostają pod silnym wpływem bogaczy, które nie mają bibliotek, domów ludowych, ani

nawet świetlic. Organizacje społeczne, albo wcale nie działają w ich terenie, albo działają źle. Kształcą się tam procent synów i córek chłopów — mało i średnio-rolnych. Akcja likwidacji analfabetyzmu nie objęła wszystkich analfabetów; najbliższa szkoła podstawowa jest o kilka kilometrów od wsi. Mało kto we wsi czytuje książki, mało pism dochodzi do rąk ogółu. Stąd biedniak wciąż jeszcze zależny jest od kulaka. Nawet tradycje pozostałości feudalnych wychodzą na wierzch — kobieta nie bierze udziału na równi z mężczyzną w życiu społecznym i gospodarczym wsi. Jest uważana niekiedy za coś niższego w stosunku do mężczyzny. A jak wygląda sprawa sojuszu robotniczo - chłopskiego? Łączności miasta ze wsią? W takie „dziury” odległe o 20 km. lub więcej od miasta, to nawet robotnicze brygady łączności nie zabłądzą, a co dopiero kino objadujące, czy jakiś zespół teatralno-swieciłowy.

Czy takie wsi, których jest nie mało, mogą być pominięte przez pisarza? — Stanowczo nie! To nie, że zrazu nie będzie miał chętnych do rozmowy i współpracy, że będzie łaził po kostki w błocie i śniegu od czasu do czasu na sianie, że będzie pracował przy lampie naftowej. To nie, że narazi się na wiele niewygód i nieprzyjemności, że przyjdzie mu stoczyć nie jedną bitwę z bogaczami i wrogami nowego porządku na wsi. Ale w nagrodę za to na takiej „dalszej” wsi pisarz spotka się z najbardziej ostrymi akcentami walki klasowej, tam gdzie w biedniakach świadomość tej walki dopiero się odzywa. Pozna te walkę w jej początkowych momentach. Będzie mógł sam przyczynić się do jej zwycięstwa. Obserwowanie samego procesu ujawni mu najbardziej jasne i skrawne zaostrzenie się konfliktów klasowych między kulakiem, a biedną wiejską. Taki teren daje pisarzowi — działaczowi — olbrzymie pole możliwości oddziaływania bezpośredniego — w Partii, w ZSCh., na zebraniach i na radach. Ile stąd konkretnych tematów do reportażi literackich, ile tematów do opowiadań, nowel, powieści, scenariuszy... Jakże bogate tworzywo literackie znajdzie tu pisarz!

Powiedziałem na początku, że chyba Pogan wybierze taką wsię, bo jemu najbliższa biedota wiejska. Z niej wyszedł — nią zajął się w swej twórczości literackiej, więc chyba teraz również jej nie porzuci.

Sądzę jednak, że nie tylko Pogan to zrobi, wierzę, że inni potrafia przełamać się wewnętrznie i „przeciwko większym trudnościom nieść swój zwiększony wkład”.

DOBROSLAW KLIMEK

Oczywiście na pierwszym planie troskliwej opieki ekipy znalazł się ośrodek maszynowy z maszynami rolniczymi, który wraz z 6-cio osobowym Komitetem Założycielskim Spółdzielni Produkcyjnej w Woli Zabierzowskiej i 30-tu jej członkami, jest zaczątkiem Spółdzielni Produkcyjnej.

Ośrodek ten, poza Wolą Zabierzowską, obsługuje ponadto trzy inne gromady: Zabierzów Bocheński, Wolę Batorską i Chobot.

Maszyny rolnicze jest mało, pracy zaś jest bardzo dużo. Nic więc dziwnego, że ekipa, przede wszystkim, postawiła sobie za cel pomóc technicznie ośrodkowi maszynowemu: naprawić psujące się maszyny rolnicze, wymagające od czasu do czasu gruntownych remontów i napraw, bez których stałyby się one bezużyteczną kupą złomu.

Pomoc ekipy stała się w tym wypadku czynnikiem podstawowym.

Ekipy nie ograniczały się jednak wyłącznie do pracy technicznej w ośrodku maszynowym. Miały one za zadanie pomóc chłopom i nawiązać z nimi przyjaźń i stworzyć w praktyce jak najkonkretniejsze więzy sojuszu robotniczo-chłopskiego.

Chłopi z Woli Zabierzowskiej, jak już wspominałem, z początku niechętnie odnosili się do przybycia ale po krótkim czasie odczuli dobrodziejstwo ich przyjazdów do wsi.

Dzisiaj nie ma bodaj we wsi biedniaka czy średniaka-chłopa, któryby w ramach tego sojuszu robotniczo-chłopskiego nie miał w podarunku naprawionej siekiery, kosy, piły, garnka itd. itd.

Po krótkim już czasie umysły chłopów przeobraziły się. Przeobraziły się do tego stopnia, że I sekretarz Podstawowej Organizacji Partyniej, tow. K. I. m. a. Franciszek stał się we wsi jakby niezmierzonym opiekunem.

Bo przecież nikt inny tylko I sekretarz gromadzkiej Podstawowej Organizacji Partyniej, przewodniczący Komisji Założycielskiej Spółdzielni Produkcyjnej, Klimka Franciszek, znał całą wsię, myślał szczegółowo o tym co i gdzie ma dokonać ekipa robotnicza. To jego mądre, chłopskie oczy i troskliwość, przewidujący umysł mówili, że to lub tamto należy naprawić lub zrobić lub, że temu lubowemu chłopu, należy pomóc.

Ośrodek maszynowy i Partia wyrosły naraz we wsi na czynniki, po przez które płynnie do wsi pomógł pod różnymi postaciami. Maso zaś powiecie Spółdzielni Produkcyjnej z pierwotnego „dziwówiska” przeobraziło się w pojęcie jednolitej, siły, wspólnego działania dla wspólnego dobra.

Chłopi zrozumieli, że ośrodek maszynowy, poza produkcyjnymi korzyściami, daje im jeszcze inne korzyści — korzyści społeczne i korzyści w postaci pomocy fachowców z miasta, którzy umia tak mądrze i przemysłowo zarządzać zru — z rzeczy bezużytecznej w paru minutach zrobić znowu niezbędne narzędzie w gospodarstwie domowym, za które trzeba by zapłacić setkami o ile nie tysiącami złotych.

Ci, którzy liczyli, że te kilka maszyn rolniczych, które składały się na ośrodek maszynowy, zepsuje się i że w końcu nie będzie kto miał zapłacić za ich naprawę i, że ośrodek maszynowy, tak czy tak, musi zamknąć kiedys — przeliczyli się.

Liczba maszyn rolniczych w ośrodku maszynowym powiększa się stale.

Dzisiaj ośrodek liczy:

- 10 siewników zbożowych,
- 4 siewniki nawozowe,
- 2 kultywatory,
- 2 koparki,
- 1 traktor wraz z całkowitym urządzeniem,
- 2 młocznice,
- 2 brony kołowe,
- 2 maszyny do czyszczenia zboża,
- 1 tryjer do zboża,
- 4 bełny do zaprawy zbóż,
- 1 plug 1-no skibowy,
- 1 plug 6-cio skibowy,
- 1 beczkowóz,
- 2 opylacze do drzewek,
- 1 grabiarka,
- 1 maszyna do roztrzepywania siana.

Życie wsi zaczyna nabierać rozmachu.

Partia Robotnicza, Gminna Spółdzielnia Samopomocy Chłopskiej, Związek Młodzieży Polskiej, Koło Gospodyń Wiejskich roztapiają się na żywotne czynniki wsi.

Łączność z miastem i fabryką poprzez ekipy robotnicze uczy wsi inaczej patrzeć na rzeczywistość, inaczej oceniać zachodzące przemiany i uczy przeobrażać własne zasklepione poglądy na pełne, kвітące życiem pojęcia o pracy i życiu.

III.

Równocześnie, choć nie równie często, z ekipami robotniczymi przyjeżdżały do Woli Zabierzowskiej ekipy kulturalno-oświatowe lub działające oświatowo czy młodzieżowi lub z Ligi Kobiet z fabryki. Dzięki właśnie zainicjowa-

nej wymianie kulturalno-oświatowej pomiędzy fabryką a wsią odbyło się w Woli Zabierzowskiej szereg imprez, na których wygłoszono referaty na tematy akcji „W” i „H”, referaty polityczne i społeczne, wyświetlano filmy, przeprowadzono agitację zachęcającą chłopów do wstępowania do Spółdzielni Samopomocy Chłopskiej i Spółdzielni Produkcyjnej. Poprzez te wszystkie imprezy o charakterze społecznym czy politycznym wsi wchodziła w pełne życie społeczne i polityczne i przyswajała sobie jego istotną treść. Że tak jest dowodzą tego fakty, które mówią, że ilość członków Podstawowej Organizacji Partyniej powoli wzrastała, wzrastała również ilość Z. M. P. i Koła Gospodyń Wiejskich jak również Gminnej Spółdzielni „Samopomoc Chłopska”.

Specjalne znaczenie nadały ekipy robotnicze Świętu Robotniczemu 1 Maja. W dniu 1 Maja wraz z ekipą przyjechała do Woli Zabierzowskiej orkiestra fabryczna. Z okazji tegoż święta w dniu 1 Maja ekipa robotnicza wykonała dalsze zobowiązania dla uczczenia Święta Robotniczego:

- wreczyła plug najbiedniejszemu chłopu,
- naprawiła motor spalinowy, pospawiała dwa koła zębate do kierału,
- naprawiła 1 plug dwuskiibowy,
- naprawiła jedną wagę do ważenia żywności,
- naprawiła 12 wag dziesiętnych,
- 2 siewniki,
- 16 maszyn do szycia
- chłom ze wsi,
- naprawiła jedną pompę nałową, jedną młocznice,
- dorobiono koło zębate talerzowe do wirówki,
- 6 kółek do tacek,
- naprawiono jedną pompę strażacką,
- naprawiono jedną sieczkarnię,
- 5 sztuk grabi żelaznych,
- naprawiono 2 kopaczki,
- wykonano nowe 2 kopaczki do buraków cukrowych,
- wykonano instalację elektryczną w szkole podstawowej,
- oraz wykonano szereg drobniejszych napraw.

W ten sposób uczła ekipa robotnicza Święto 1 Maja, święto sojuszu robotniczo-chłopskiego.

W podobny sposób ekipy uczyły Święta Ludowe i Święta Odrodzenia Polski. Ten potężny wkład w życie wsi nie mógł pozostać bez wpływu na jej mieszkańców. Nawet najpoorniejszy chłop, ci którzy niechętnie odnosili się do ekip robotniczych z tego powodu, że pracują one w niedzielę, zostali przekonani i uznali, że byli w błędzie, czując do ekip nieuzasadnioną niechęć. Zrozumieli, że robotnicy nie mogą przecież przyjeżdżać do nich w dzień roboczy i jeśli przyjeżdżają do nich w niedzielę to poświęcają dla nich swój wolny czas, przeznaczony na odpoczynek, po to, aby im pomóc.

Najlepszym sprawdzianem zachodzących zmian w życiu wsi były zebrania organizowane przez ekipy robotnicze. Z początku na zebraniach te przychodziło po kilka lub najwyżej kilkanaście osób. Obecnie na zebraniach te chłopi z Woli Zabierzowskiej uczęszczają masowo.

W wielokierunkowej działalności ekip robotniczych nie zapomniano i o Związku Młodzieży Polskiej i całej młodzieży chłopskiej. W dniu 2 października, w dniu Święta Pokoju, ekipa robotnicza wreczyła młodzieży z Z. M. P. w Woli Zabierzowskiej: jedną piłkę nożną, jedną piłkę do siatkówki i jedną siatkę. W ten sposób wyposażono starszą młodzież wsi w sprzęt sportowy i stworzono podstawy do zapropagowania sportu. Dalej w dniu 6 listopada ekipa robotnicza przekazała 12 ławek szkolnych miejscowej szkole podstawowej.

Nie więc dziwnego, że łączność pomiędzy gromadą a ekipą robotniczą KZWME rosła stale i nieustannie. Chłopi przez tę łączność mieli w robotnikach krakowskich najlepszych przyjaciół, na których mogli liczyć nawet w najgorszych wypadkach. Robotnicy zaś starali się wszelkimi siłami, aby wszystkie potrzeby chłopów zaspokoić i okazać im naprawdę braterską usługę. Dowodem tego było choćby umieszczenie kilku chłopów, synów chłopów z Woli Zabierzowskiej, w Fabrycznej Szkole Przemysłowej w Krakowie.

Jak więc z tego wynika opieka nad ośrodkami maszynowym wybiegła daleko w głąb wsi, w jej najistotniejsze potrzeby indywidualne i zbiorowe.

To co robotnicy i chłopi robią w Woli Zabierzowskiej i innych wsiach jest niczym innym jak tylko ostateczną mobilizacją klasy robotniczej do ostatecznego rozprawienia się z wrogiem klasowym na wsi i dlatego w mobilizacji tej muszą wziąć udział wszyscy chłopcy mało i średniorolni.

W Woli Zabierzowskiej do Spółdzielni Produkcyjnej zgłosiło się 30 chłopów posiadających razem 10 ha ziemi, poza tym gromadzką ziemią jest około 90 ha co razem stanowi 90 ha. Taki jest początek.

WALERY OSMENDA

Redaktor naczelny — JAN ALEKSANDER KROL
Redaguje Komitet.

Adres Administracji: Warszawa, ul. Wiejska Nr. 12 Adres Redakcji: Warszawa, ul. Starynkiewicza Nr. 7.
Tel. Red. Nacz. 812-71. Tel. Redakcji 8-00 61 do 6 wewnętrzn 23 i 76.
Wyd.: SPÓŁDZIELNIA WYDAWN. - OSW. - C Z Y T E L N I K.
REDAKCJA NIE ZAMOWIONYCH REKOPISÓW NIE ZWRACA.
Adres Prenumeraty i Ogłoszeń — Warszawa — Plac Trzech Krzyży 16

Warunki prenumeraty:
miesięcznie 80.— zł; kwartalnie 240.— zł; półrocznie 480.— zł; rocznie 960.— zł. Należność za prenumeratę należy wpłacać na konto PKO Warszawa I—6341 z zaznaczeniem „za tvg. „Więść”.

Drukarnia nr 2 Spółdz. Wyd.-Osw. „Czytelnik”. Marszałkowska 3/5.
B-101411